

# O maleńkiej Marcysi i o gwiazdkach z nieba : bajka w trzech aktach

Sobańska, Helena (pisarka) Autor

Adres URL obiektu

<https://polona.pl/preview/e0db309b-369a-4954-ba6f-74f238fcbdd7>

Data wygenerowania dokumentu pdf

16.02.2024

POLONA/



Domena publiczna

## Informacje

Tytuł ujednolicony

O maleńkiej Marcysi i o gwiazdkach z nieba : bajka w trzech aktach

Autor

Sobańska, Helena (pisarka) Autor

Data powstania dokumentu

[druk 1924]

Prawa do utworu

774df0a5-f2ec-4080-9005-79be93feb3a7

Źródło

Biblioteka Narodowa



HELENA SOBANAŚKA  
O MALEŃKIEJ  
MARCYSI  
I O GWIAZDKACH  
Z NIEBA

BAJKA W TRZECH AKTACH



W A R S Z A W A

---

INSTYTUT WYDAWNICZY  
„BIBLIOTEKA POLSKA“





# O małej Marcejsi

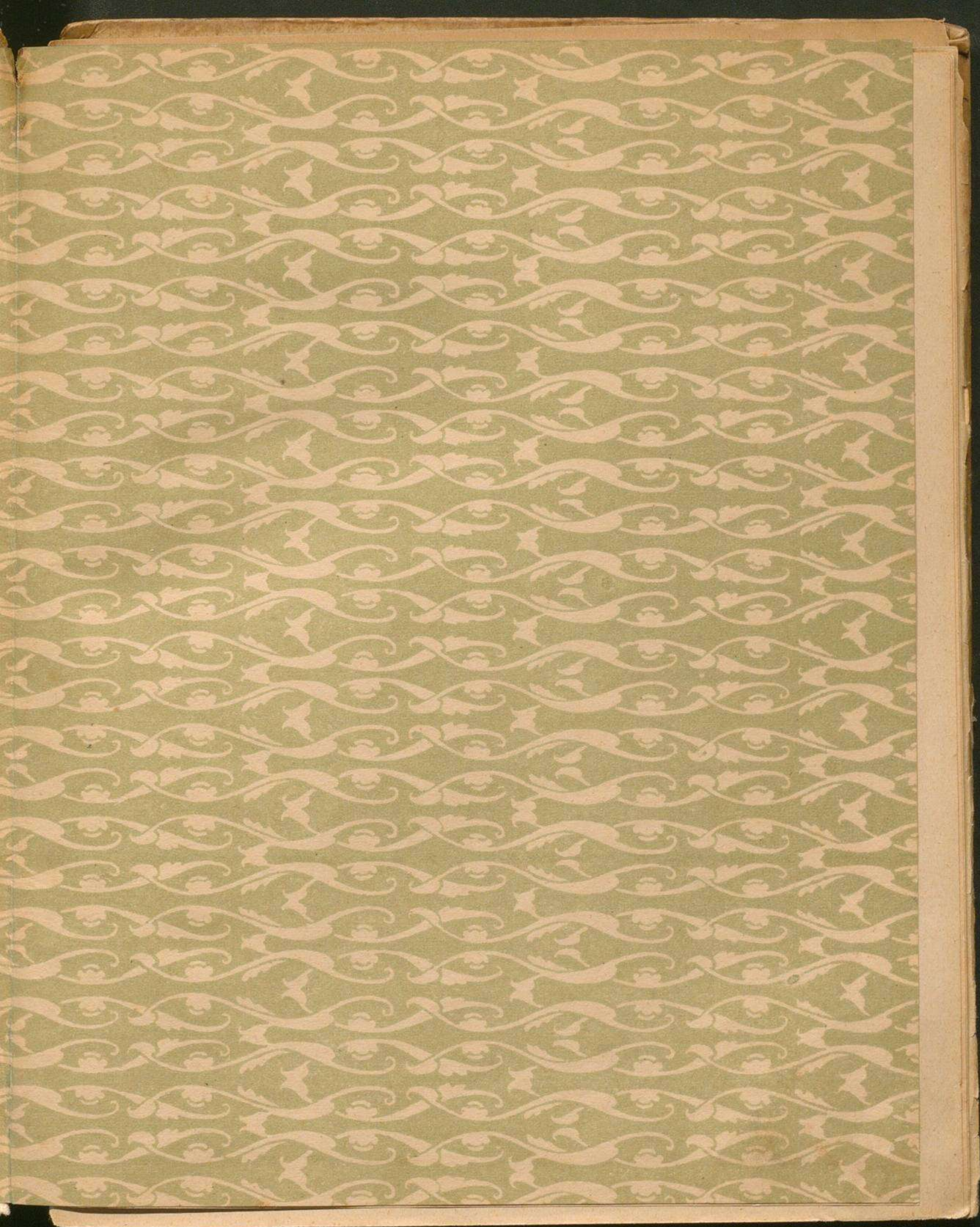


i o gwiazdkach z nieba

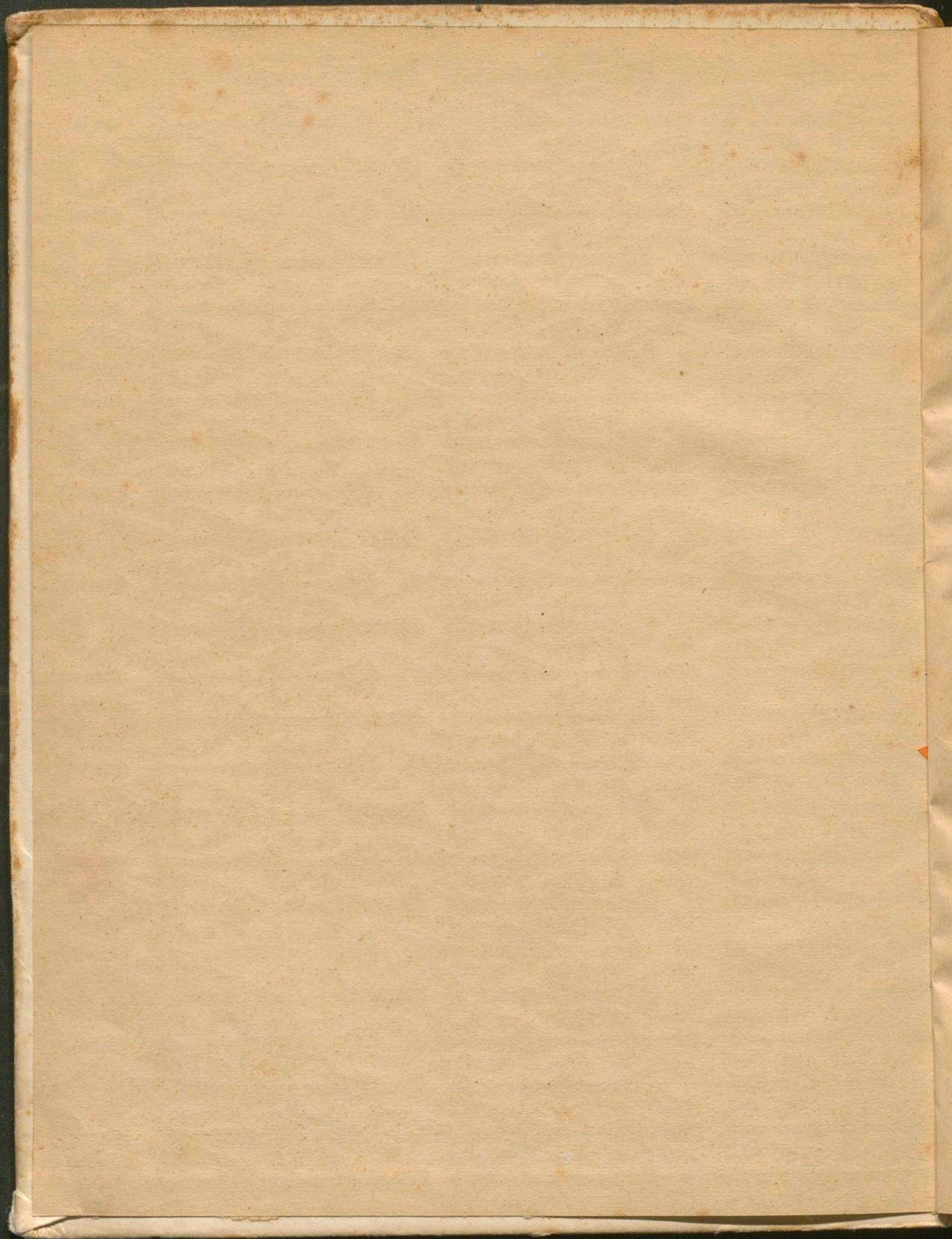














O MALEŃKIEJ MARCYSI  
I O GWIAZDKACH Z NIEBA



1213 AM 1111  
ADNA CH 1111





3. 133.683

Okładkę i rysunki w tekście wykonał Aleksander Świdwiński.

Odbito w Zakładach graficznych Instytutu Wydawniczego „Biblioteka Polska” w Bydgoszczy.



2020 d 2806



O S O B Y:

Matka

Staszek — jej syn

Tobiasz

Marcysia — sierotka.



## AKT I.

### OBRAZ PIERWSZY.

(Mały, zaciszny pokój. Zmrok. Przez otwarte okno widać, jak na niebie stopniowo zapalają się gwiazdy. — Wchodzi matka, obok, trzymając się jej sukni — Staszek. — Matka krząta się po pokoju. Staszek nieodstępnie przy niej)

MATKA: Taki duży chłopiec, a ciągle przy mnie... Wstydź się, to naprawdę nieładnie. Lekcje odrobione?

STASZEK: Już. To jest — ja nie uczyłem się... ale ...ja już umiem.

MATKA: No tak... tak... ja wiem. Byle tylko raz mu powiedzieć — pamięta co do słowa. (przyciągając go i całując) Ty moja główino kochana, będzie mi jeszcze kiedyś pociecha z ciebie, o, będzie... Ale teraz idź, pobaw się trochę! Wujek Tobiasz przyniósł ci znów takie śliczne zabawki!





STASZEK: Eh, zabawki... zresztą te wszystkie zabawki, co wujek Tobiasz przynosi... *(tajemniczo)* Ja ci powiem, mamusiu... Dawniej mnie się zdawało, że on czarodziej, prawdziwy czarodziej.

MATKA: Kto — wujek Tobiasz? Byłeś pewno wtedy bardzo mały i głupiutki.

STASZEK: Naturalnie... no i... ja myślałem, że jego zabawki żywe, a to tylko tak... wszędzie sprężynki. Skręcić sprężynkę — i po zabawce. Ja nie chcę takich zabawek, co się psują.

MATKA: Masz jeszcze kotka i pieska i konika, prawdziwego konika. Jeździłeś już nawet na nim kilka razy...

STASZEK: To mają przecie wszystkie dzieci, a ja chcę coś takiego, czego jeszcze nie miał nikt dotąd! *(po chwili)* Jak te gwiazdki na niebie ślicznie błyszczą! Popatrz tylko, mamusiu!

MATKA: A tak. Dziś istotnie niebo zdaje się bardziej roziskrzone, niż zwykle.

STASZEK: O, jedna gwiazdka spadła... i druga... Gdyby tak można znaleźć, gdzie upadły... albo na górę pójść, na sam szczyt!

*(Słychać pukanie do drzwi)*

MATKA: Ktoś puka — pewno, wuj Tobiasz. Idź, otwórz! Albo nie — ja sama... Może jednak ktoś obcy.

*(Wychodzi. Słychać jakby okrzyk zdziwienia i ożywioną rozmowę. Po chwili matka wraca, za nią Tobiasz, prowadzący małą dziewczynkę za rączkę)*



MATKA: Widzisz, wujek Tobiasz tym razem, jak prawdziwy czarodziej, przyniósł ci żywą zabawkę.

STASZEK: Dziewczynka!

TOBIASZ: Nazywaj ją Marcysią. To będzie teraz twoja siostrzyczka.

STASZEK: *(ogląda ją ciekawie, jakby z niedowierzaniem)* Naprawdę żywa?... A czy to trudno było wymyślić taką żywą zabawkę?

TOBIASZ: Ależ ja jej nie wymyśliłem. To prawdziwa żywa dziewczynka. No, Marcysiu — pocałuj tego zucha, a ty ją!

*(Marcysia chowa głowę za rękaw Tobiasza)*

TOBIASZ: Boi się jeszcze... ale to nic, oswoi się pomału. Siedziało biedactwo skulone przy drodze... chciała uciekać, gdym do niej przemówił, ale dałem sobie radę! A teraz, to już jesteśmy w przyjaźni. Prawda?

*(Marcysia cichutko całuje Tobiasza w łokieć)*

TOBIASZ: Ty ptaszyno maleńka, biedne pisklatko bez gniazdka... tu znajdziesz i ciepło i kochanie. Przyszedłem do was, matko... Sam jestem, a dziecku opieki kobiecej trza... więc do was, jak w dym, bo zacność waszą znam.





MATKA: Słusznieście rzekli, Tobiaszu, dziecku trzeba kobiecej opieki i serca kobiecego. Postaram się zastąpić jej matkę... i Staszek nie będzie taki samotny.

STASZEK: A gdzie jej pierwsza mamusia? Ona przecie także musi mieć swoją mamusię!

TOBIASZ: Miała, tylko mamusia jej umarła.

STASZEK: Umarła! Ja jeszcze nigdy nie widziałem, jak to się umiera... Opowiedz, wujku!

MATKA: No, dosyć. Marcysia zostanie u nas, więc trzeba pomyśleć, żeby jej tu dobrze było. Najpierw muszę wyszukać łóżeczko. Chodźcie, Tobiaszu, pomożecie mi! A ty, Staszku, postaraj się zabawić Marcysię. *(odchodzą)*

STASZEK: *(wydostając różne zabawki i ustawiając je kolejno przed Marcysią)* Patrz!... Nie bój się. O, głową rusza i ogonem także.

MARCYSIA *(ostrożnie dotykając paluszkami)*: Konik.

STASZEK: Można go też zaprząć do wózka, patrz! A to kotek... miauczy.

MARCYSIA: *(nieco śmielej)* Żywy?

STASZEK: E, gdzie tam, tak sobie. To wszystko wujek Tobiasz. — On tylko chodzi i ciągle myśli, żeby jaką nową zabawkę wymyśleć i dlatego ja myślałem, że on i ciebie wymyślił. A dlaczego ty siedziałaś na drodze?

MARCYSIA: Bo mnie wypędzili.

STASZEK: Co, z domu! A kto wypędził?

MARCYSIA: A z domu — ciotka.

STASZEK: Ale zaco? Musiałaś być niegrzeczna. Bo jak Mruczek jest niegrzeczny i mnie podrapie, to ja go wypę-



dzam... Tylko że ty przecie nie drapiesz. (*surowo*) A może skłamałaś — powiedz!

MARCYSIA: Ja... ja nic nie zrobiłam złego — naprawdę, że to niechcący. Stłukłam dzbanek do wody, bo bardzo ciężki... a iść było trzeba pod górę, nie mogłam udźwignąć pełnego i wysliznął mi się z rąk... Zaraz przybiegłam i powiedziałam, że stłukłam dzbanek niechcący. (*trze rączkami oczka*)

STASZEK: Tylko nie płacz! Co to dziewczyna, zaraz w płacz! Teraz już wierzę, że nie zrobiłaś nic złego, to twoja ciotka jest zła! Ale, jak dorosnę — poczekaj — niechno ja dorosnę... Ona zobaczy!

MARCYSIA: Cóż ty zrobisz?

STASZEK: Ja?... Będę rycerzem i wszystkich złych ludzi będę prześladował, a dobrym... Ale co ci opowiadać, nie zrozumiesz!

MARCYSIA: Ja zrozumiem. Mój Staszku, opowiedz tylko, a zobaczysz, że zrozumiem!

STASZEK: Co ty tam wiesz.

MARCYSIA: Ja wiem, ja już dużo wiem. Umiem różne bajeczki... (*lekceważący gest Staszka*) I... ja wiem, że wujek Tobiasz jest bardzo dobry, i twoja mamusia jest bardzo dobra, i ty... i... ja ciebie bardzo kocham, Staszku.

STASZEK: No tak... tak... jesteś teraz przecie moja siostrzyczką. A z tą ciotką — poczekaj — niechno ja dorosnę... (*odsuwa Marcysię i podchodzi do okna*) Wiele gwiazd!... i jak mrugają!... Droga mleczna już jest... A wiesz, co to mleczna droga?



MARCYSIA: A wiem: to droga, którą dusze ludzkie do Boga idą na sąd. I Bóg dobrym duszom iść każe na prawo, do nieba, a złym na lewo, do piekła.

STASZEK: *(po namyśle)* Ale, jeśli te dusze będą na sąd szły z drugiej strony nieba, od tej, gdzie droga się rozdziela, to na którą wyjdą, czy na tę, co do piekła, czy tę, co do nieba?

MARCYSIA: Ja nie wiem. Tak mamusia mówiła... *(recytując niby lekcję)* I wszyscy staną przed tronem Pana Niebieskiego, a Pan ich rozdzieli i sprawiedliwym pójść każe na prawo, a tym, co źle czynili — na lewo. I pójdą jedni w światłość wieczną, gdzie święci i aniołowie chodzą i kwiatki zbierają i śpiewają śliczne pieśni, a Matka Boska z Dzieciątkiem ich słucha... Światłość wieczna jest tam, gdzie gwiazdy. — Prawda, Staszku?

STASZEK: *(niepewny)* Jakże może być inaczej?

MARCYSIA: I mamusia moja jest tam, między gwiazdami. A jak ty myślisz, czy ona nas widzi? Bo mnie się zdaje, że te gwiazdy wcale nie są tak daleko.

STASZEK: I mnie się tak zdaje. A nawet jestem pewny, tylko boję się mówić... Zresztą nikt mi nie uwierzy. Eh, co tam... O, patrz — jeszcze zabawki! Dom — są okna i drzwi.

MARCYSIA: I łóżeczko w pokoiku, i stolik... wszystko.

STASZEK: A to waż. — *(nakręca go)*

*(Marcysia zalekniona zaszywa się w kąt)*

STASZEK: *(śmieje się, po chwili, gdy waż przestał się wić — kopie go pogardliwie nogą)* Ot i masz, po strachu. Wiesz, co? Ty, choć jesteś dziewczyną, ale to nic... może zrozu-



miesz. Powiem ci jeden wielki sekret. To znaczy, że nikomu nie trzeba tego mówić.

*(Marcysia słucha z wielkiem skupieniem)*

STASZEK: To wszystko nic warte, te zabawki, to wujaszek Tobiasz zrobił: papier i drzewo, nic więcej. A ja chcę... Przecie i ty także widzisz, że gwiazdy są blisko.

*(Marcysia skinęła głową)*

STASZEK: *(koło okna)* Patrz — tylko wyjść na górę, tę najwyższą. Widzisz? Gwiazda, co się teraz zapaliła, mruga i mieni się to niebiesko, to zielono... Jaka duża — i dotyka ziemi. Ale pamiętaj, nic nie mów, bo mamusia nie pozwoli...

MARCYSIA: To ty chcesz tam pójść?

STASZEK: Kiedyś w nocy... bylebym jaką broń znalazł, bo tak niebezpiecznie. Pójdę na sam szczyt i zdejmę gwiazdkę z nieba i przyniosę do naszego domku. Dopieroż wtedy jasno u nas będzie!

MARCYSIA: Gwiazdek dotykać nie wolno nikomu, oprócz Boga. Bo gwiazdy, to są najlepsze uczynki człowieka. Każdy człowiek, który spełnił jakiś dobry uczynek, ma jedną gwiazdę. A sam Bóg je na niebie zawiesza i aniołom swoim do księgi złotej wpisywać każe. I od gwiazd tych jaśniej ludziom na ziemi, a także wszystkim duszom umarłych, będącym w niebie.

STASZEK: A te gwiazdy, co na ziemię spadają. — Słyszałem, kiedyś mówili: jego gwiazda zgasła.

MARCYSIA: Mamusia mówiła... Kiedy człowiek bardzo zgrzeszy, ale tak bardzo, że sam Bóg, choć miłosierny, już











mu przebaczyć nie może, to jego gwiazda spada, a wtedy Bóg się smuci i aniołowie także. A anioł, który tę gwiazdę do złotej księgi wpisywał, łzami swój napis zmywa.

STASZEK: Ty jednak naprawdę dużo wiesz. Nigdy nie myślałem, żeby taka mała dziewczynka mogła tak dużo wiedzieć.

MARCYSIA: To nie ja — to mamusia.

STASZEK: Ale żeś tak wszystko zapamiętała?

MARCYSIA: Mamusia mi codzień wieczorem do snu opowiadała różne bajki — więc dlatego...

STASZEK: *(po chwili)* Ciekawym bardzo, czy ja już mam swoją gwiazdę?... Chciałbym, żeby to była ta.

MARCYSIA: Ta duża... nad samą górą?

STASZEK: Jak się mieni!... Raz niebieska, to złota. A obok niej druga taka sama — to niech będzie twoja! Patrz, teraz znów są zupełnie niebieskie, tylko promienie złote wokoło! Otóż będę je miał, będę je miał koniecznie!

## OBRAZ DRUGI.

*(Pracownia Tobiasza)*

*(Tobiasz siedzi przy stole i majstruje)*

MATKA: *(wchodząc bez pukania)* Przychodzę znów.

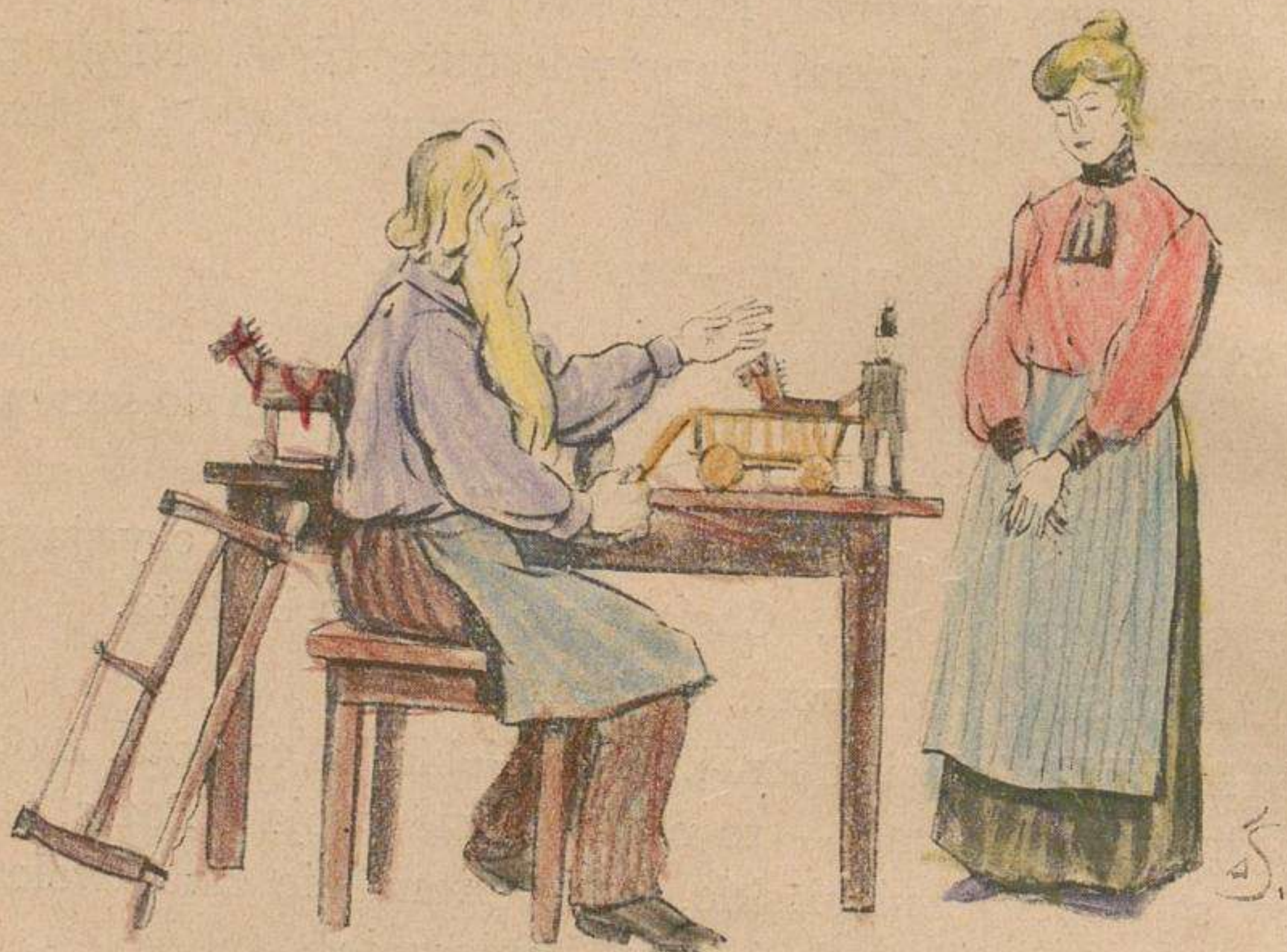
TOBIASZ: Czy są jakie wieści?

MATKA: Żadnych. Jak w wodę wpadli. Idąc, myślałam... Przybiegali do was nieraz... że to dom wasz bliżej drogi...

TOBIASZ: Rozesłałem gońców na wszystkie strony. Po-



szedłbym sam — ale cóż, stary jestem. Nogi moje nie daleko  
mnie poniosą. Cierpliwości, matko, odnajdą się nasze dzieci.



MATKA: Z każdą minioną godziną zdaje mi się, że cały  
rok mego życia upłynął. Chodziłam sama, wołałam... To  
znów nagle przyszło mi na myśl, że już są w domu. Czekają  
głodni, przemęczeni — więc wróciłam. Zresztą dokąd iść,  
gdzie ich szukać?... Marcysia wyszła zapewne jeszcze w nocy,  
Staszek rano. Kiedy się dowiedział, że jej niema, bardzo  
był tem zaniepokojony! A wy wciąż majstrujecie, Tobiaszu.  
I poco to wszystko?

TOBIASZ: Jakto, poco? Robię zabawki, dzieciom trzeba  
zabawek. Takie dzieci, co nigdy nie miały zabawek, stają



się, gdy dorosną, najsmutniejszymi z ludzi. Widziałem już takie, widziałem... Wszakże i ja sam... Eh!

MATKA: Mój Staszek miał ich tyle, a jednak!...

TOBIASZ: Bo Staszek właściwie przestał być małym dzieckiem, on już sam sobie stwarza zabawki i temi najlepiej się bawi. To samo i my robimy — dorośli... Tylko, że nazywamy to nie: bawić się, ale: marzyć!

MATKA: Mój Staszek jedyny! Czy ja go jeszcze ujrzę kiedy?

TOBIASZ: Bądźcie spokojni, matko, odnajdziemy wam waszego Staszka, a jak nie — to odnajdzie się sam. Chłopiec — zuch. Czyż mógłbym być takim spokojnym, gdybym tej pewności nie posiadał.

MATKA: Miałam ich dwoje, bo i tamtą przyjąłam do serca swego, jakby córką moją była rodzoną, a tymczasem... To ona nieszczęście wniosła w mój dom!

TOBIASZ: Błuźnicie, matko. Jak takie biedne pisklątko mogło nieszczęście wnieść do domu?

MATKA: Staszek poszedł jej szukać i niema go.

TOBIASZ: A ona poszła po gwiazdki z nieba, o których marzył wciąż Staszko; czyż można ją winić za to?

MATKA: A jeśli zabłądzą! — Lasy wokoło ogromne, nie jeden dorosły nie da sobie wśród nich rady, a cóż dopiero dzieci. (*ukrywa twarz w dłoniach*)

TOBIASZ: Nie płaczcie, matko! Ja wierzę, że jest ktoś, co nad nami czuwa.

MATKA: Ja również wierzę i wciąż modłę się za nich.

TOBIASZ: Módlmy się razem! Ty módl się słowami,



ja zaś tą swoją skromną pracą, która może uśmiech radości wywoła na jakieś słodkie, dziecięce usta. I radość ta niech będzie na chwałę bożą. *(kiwając głową)* Bo dzieciom trzeba zabawek, dużo zabawek... A i nam, dorosłym, także.

### OBRAZ TRZECI.

*(W lesie)*

MARCYSIA: Nóżki tak bołą! I ciemno, coraz ciemniej. Z początku świecił księżyc, a teraz księżycyca niema, ani nic... Jak tylko Staszek usnął, ubrałam się cichutko i wyszłam. Śpią pewno jeszcze, Staszek i mamusia. Dopiero się ucieszą, kiedy powrócę z gwiazdkami! Odpocznę sobie trochę. Idę już długo, długo, choć góra zdawała się blisko — i gwiazdki także. A teraz nie widzę ani gór, ani gwiazd, tylko drzewa i drzewa. *(Zasypia. W głębi rozsuwa się szczelina między dwiema ścianami boru i widać w oddali drogę, wiodącą ku górze, a na tej drodze idącego Staszka)*

STASZEK: Tu zrobię znak, gdyby Marcysia nadeszła, może domyśli się, że ja tu byłem. Innej drogi na górę niema, więc i ona tą samą iść musi. Czas jakiś szedłem jej śladami, ale mi w lesie zaginęły. Pewno okrążyła las, myślała, że w głąb iść niebezpiecznie. Bo taka mała dziewczynka, to zaraz przecie boi się wszystkiego... A może ona gdzieś błądzi, nie zna tego lasu, tak, jak ja... Nie chcę już gwiazd, choćby najpiękniejszych!... Marcysiu, gdzie ty jesteś, Marcysiu! *(ściany boru zesuwają się)*

MARCYSIA: Zdawało mi się, jakbym słyszała głos Staszka.



Wolał mnie, ale był jakiś smutny i mówił, że już gwiazdek nie trzeba. Ale ja mu je odnajdę i przyniosę w rączkach, a nieść będę ostrożnie, żeby nie poplątać promieni... Bo pewno muszą być długie — długie... Dłuższe, niż moje włosy.

*(Bór znowu się rozstępuje, odsłaniając usiane gwiazdami niebo i szeroko rozlaną, iskrzącą się topiel wodną. Topiel coraz się rozlewa, dosięgając stóp Marcysi)*

MARCYSIA: Niebo i gwiazdy. Tyle gwiazd... I na niebie, i tu, na dole... Myślałam, że już ich nigdy nie zobaczę. Staszek mówił, że po gwiazdy trzeba iść na górę, a są i na ziemi... O!... tylko rączkę wyciągnąć... Uciekła! Co to? — Woda! Ale to nic! Jaka ciepła! Coś mówi... Tylko tak cicho mówi, że nie rozumiem nic... Gwiazdki wciąż uciekają. Czekaście, już ja was dostanę — dla Staszka!... Jakby mnie jakieś ręce niosły... Tak dobrze!... Już nie jestem zmęczona. Staszku, tyle gwiazd!... o, o, o! *(znika)*

*(Z wody powstają mgły, niby szereg widmowych postaci i, krążąc w powolnym tańcu, gaszą gwiazdy)*

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.



## AKT II.

### OBRAZ PIERWSZY.

*(Dno wodne).*

*(Syrena siedząc na skale, czesze swe długie, połyskujące srebrem włosy)*

WODNICA: *(krąży obok, zrywając gałązki koralu, których pęk trzyma już w ręku)* A ty wciąż czeszesz i czeszesz te swoje włosy!

SYRENA: Czyż nie piękne — patrz?

WODNICA: Piękne są, ale... dziwne jakieś.

SYRENA: Dawniej były czarne i pachnące, niby upalna letnia noc. A teraz białe, jak srebro, szronem smutku przedwcześnie osrebrzone.

WODNICA: Skąd ty jesteś? Widzę cię tu po raz pierwszy.

SYRENA: I po raz ostatni. Nigdzie nie bawię długo. Dziś jestem tu — jutro tam. Płynę przed siebie, lecz nigdy nie jestem bliżej, ani dalej kresu swej drogi. A ty wciąż tylko zrywasz gałązki koralu.

WODNICA: Mam ozdobić niemi królewski, biesiadny stół. To moja codzienna praca. Król Kościej nie pozwala na bezczynność.



SYRENA: A tak — wiem.  
Lecz i ja nie jestem beczyn-  
na, kiedy grzebieniem perło-  
wym przesuwam po srebr-  
nych włosach. Posłuchaj...  
czyż nie słyszysz nic!

WODNICA: Szmer słyszę  
i zdaje mi się... jak-  
by gdzieś struny za-  
drgały. Jakaś pieśń.  
Tęskna taka... Ale  
słów tej pieśni roz-  
poznać nie mogę.

SYRENA: Tak...  
tak... A ludzie przy-  
chodzą nad brzeg  
wody i zdaje się  
im, że to jeno woda coś gwarzy. A to ja wówczas perłowym  
grzebieniem po srebrnych przesuwam włosach... Lecz tylko  
smutni rozumieją słowa mej pieśni i powtarzają je innym  
ludziom na ziemi!

WODNICA: Nie wolno wspominać o ziemi. Król Kościej  
zakazał. (*widząc zbliżającego się ogromnego raka*) O, już ten  
stary idzie. Jeszcze gotów potem nagadać, że ja zakazów  
królewskich nie przestrzegam. (*oddala się szybko*)

SYRENA: Idź, idź, śpiesz! Zanieś królowi te koralowe  
kwiaty — martwe, jak jego dusza.

RAK: (*nadpływa, zerkając za uciekającą*) Ciekawym,





o czym tak uradzały?... (*odwraca się i spostrzega Syrenę*)  
Toż co za zjawisko!... Zupełnie inna, niż te wszystkie nasze  
wodnice. Nie taka wymokła! Wartoby się zapoznać z nią  
bliżej. (*składa jej ukłon*)

(*Syrena skinęła obojętnie głową*)

RAK: Cóż cię tu do nas sprowadza?... (*po chwili*) Może  
skarbów szukasz?... Wskażę ci jedno miejsce, jest nieda-  
leko... Nikt o niem nie wie!

SYRENA: (*perłowym grzebieniem przesuwając po srebrnych  
włosach*) Skarbem moim te włosy. Splatam je, i rozplatam,  
i znowu czeszę. (*przesuwając grzebieniem*)

RAK: To dziwne!... Jakby granie jakieś. (*chwila*) Lecz  
dlaczego białe masz włosy? Twarz twoja krasą młodości  
jaśnieje, a włosy siwe, które pono, jak mówią niektórzy,  
oznaka starości być mają.

SYRENA: Zbielały z wielkiego smutku — byłam ongi na  
ziemi.

RAK: Nie trza mówić o ziemi. Król się gniewa, a strasznym  
być umie w swym gniewie!

SYRENA: Ja czeszę włosy... i nie pytam o nic.

RAK: Znowu jakbym muzykę słyszał... Cichą — cichą...  
a taką pieszczącą... Ot! marzenia rozebrały... Tak się coś  
przypomina — jakieś lata młode... i smutno czegoś, ale i do-  
brze, jak dawno nie było. Oj!...

MŁODY KRAB: (*nadpłynąwszy niespodziewanie, zaplą-  
tał się w nadstawionych ku górze wąsach rozmarzonego raka*)  
Zawsze ten stary każdemu w drogę wejść musi! Coprawda,  
biedak nie bardzo wie, dokąd idzie.



RAK: Aj!... Ostrożnie... Powoli! Wąsy mi urwiesz.

MŁODY KRAB: A czemuś je tak nadstawił? Trzymaj przy sobie, to nikt nie zaczepi. Wąs długi, a rozum krótki.

RAK: Mówi się: włos, a nie wąs, bo to o niewiastach. Nawet nie wiesz! Mówi się: włos.

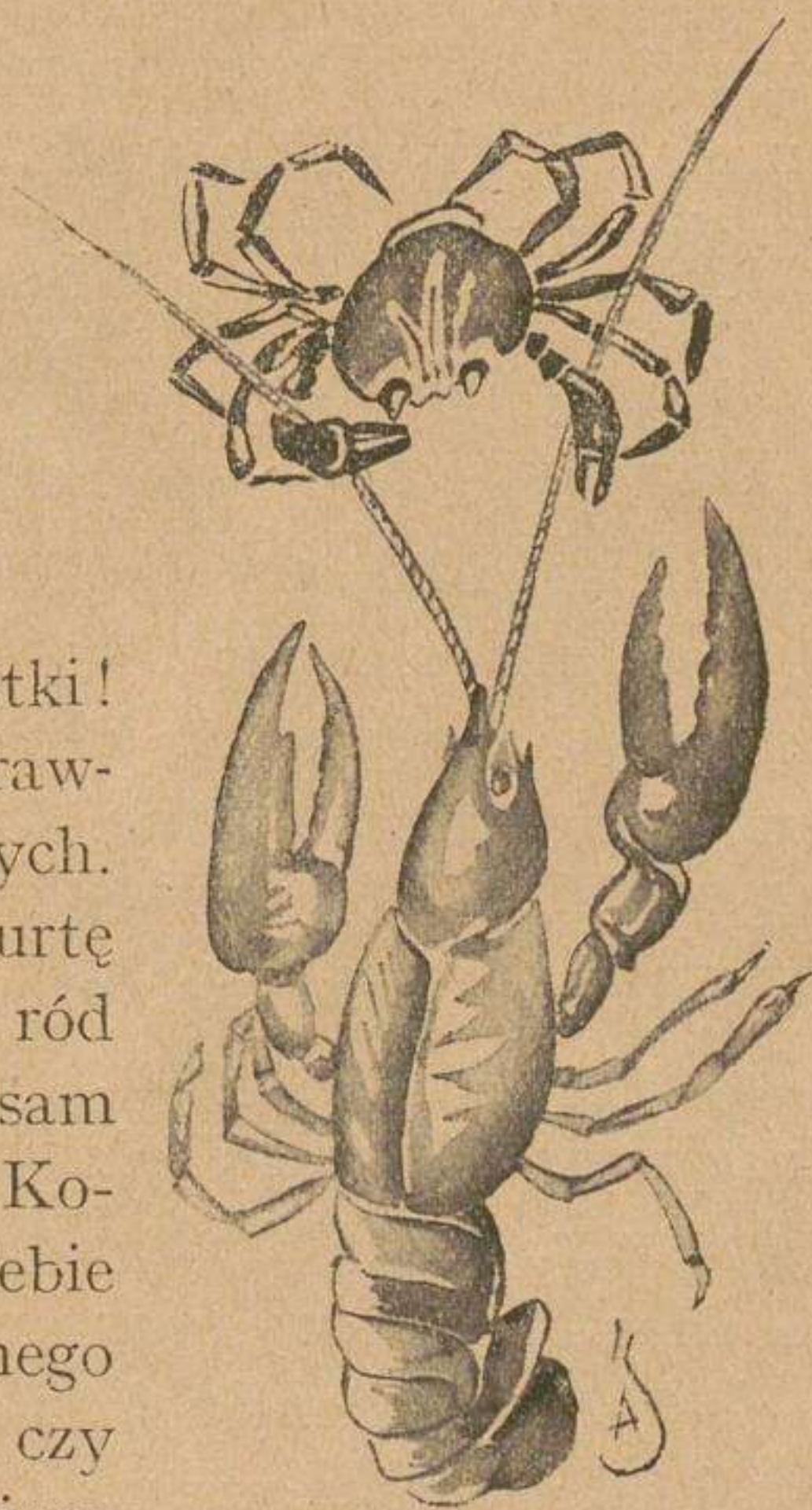
MŁODY KRAB: Wszystko jedno, włos czy wąs. Wąs to też włos. *(odpływa)*

RAK: Wąs długi, a rozum krótki! Widzicie go... A jeszcze pociotek. Prawda, że to z tych tam... podupadłych. Ale poczekaj, niechno ja ci kiedy kurtę skroję. Niedarmo sztuką krawiecką ród nasz od wieków słynie. Wszakże i sam jestem krawcem nadwornym króla Kościeja. Coprawda, od czasu, jak siebie i jego pamiętam, nigdy mu żadnego ubrania nie zrobiłem. Ciekawym, czy też, kiedy żył na ziemi, krawiec jego tyle miał z nim roboty, co teraz ja!... Ach, prawda, że o ziemi wspominać nie wolno!

SYRENA: A dlaczego on taki — ten król Kościej?

RAK: Dawniej był inny. On także był na ziemi... Mnie opowiadał o tem dziadek.

WODNICE: *(wynurzywszy się naraz, nastuchują, okrążywszy dokola raka)* Opowiedz nam, opowiedz o królu





Kościeju, kiedy był młody i piękny, że pono równego jemu w piękności nie było na świecie!

RAK: Co to jednak ciekawość kobieca, wiele tu ich odrazu nadpłynęło! Właściwie, mówić o tem wzbroniono, ale... Więc mnie opowiadał dziadek, a mojemu dziadkowi jego ojciec, a ojcu mojego dziadka...

WODNICA: Też ojciec.

RAK: Otóż nie, brat jego cioteczny!...

GŁOSY: Mów nam o królu!

RAK: Aha, chcecie od początku. To było tak...

*(Dno wodne tymczasem ożywiło się. Las brunatnych pni, stojących nieruchomo, jakby zakwita naraz, rozścielając wachlarzowate, palczaste liście. Czerwone i żółte — jak zdawało się dotąd — kamyki, leżące nieruchomo na skałach, staczają się szybko, nawzajem się popychając, żeby bliżej być starego raka. Lazurowe rybki wynurzyły ciekawe łebki. Z samego zaś dna odrywają się jakby płaty ogromne piasku i, wzniósłszy się ku górze, krążą, przewalając się w wodzie — ryby jednookie. A opodal meduzy, jak baletnice w rozwianych sukienkach, przystały i znieruchomiały zastuchane)*

RAK: *(rozejrzawszy się, z zadowoleniem pokręca wąsa)* Co słuchaczy! Otóż powiem wam, moje dziatki... Król Kościej miał ongi królestwo potężne i bogactwa niezliczone. I małżonkę młodziuchną, którą kochał nad życie, a sam był młody i piękny niepospolicie, więc zdawało mu się, że szczęśliwszego odeń niemasz na ziemi. Bo to było na ziemi. Aż naraz spadać nań zaczęły klęski, jedna od drugiej straszniejsze. Grad zniszczył w kraju plon cały, ogień pożarł szereg. miast



Wróg odebrał mu władzę, a skarby, jakie ukryć dla siebie zdołał — zbóje wykradli. Zaś po ostatniej wyprawie, którą z garstką oddanych sobie był przedsięwziął, mniemając, że choć część straconego królestwa odzyska — otóż, po tej wyprawie powróciwszy, żonę znalazł w grobie i w grobie dzieciątko jedyne, co podczas nieobecności jego na świat przyszło. Nie rzekł nic. Słowa skargi nikt z ust jego nie usłyszał, jeno zęby zacisnął. Poszedł i nie widziano go długo... długo. A kiedy wrócił — znów miał bogactwa niezliczone i stał się królem potężnym, ale dusza jego z tego bólu jakby skamieniała, że jużbyś w niej człowieczej duszy nie rozpoznał. Nikt uśmiechu nie ujrzał w zastygłej, zda się, na wieki twarzy i nikt do serca martwego nie znajdował drogi. Choć powinno być tak, że, kiedy kto sam jest nieszczęśliwy — to dusza jego dla wszystkich się otwiera i jeszcze silniej czuje nieszczęście każdego. On zaś okrutny stał się i bezlitosny, zarówno dla dobrych, jak i dla złych, że postrach padł na wszystkich i uciekać od niego jęli i kryć się, aby tylko nie ujrzeć tego oblicza, grozą niewypowiedzianą tchnącego. Aż wreszcie, obrzydłszy sobie, nieubłagany, niby kamień, dla wszystkich, zaś sam wciąż męką nieustającą trawiony, zapragnął śmierci, ale i śmierć go nie zechciała. Nie imać się żelazo... ogień nie palił... snąć, że i ciało, jak dusza, stało się z kamienia. Wtedy to umyślił, żeby łódź dlań zrobiono, łódź złocistą, rzeźbioną cudnie, a kiedy była gotowa — wsiadł, wypłynął na głębie największą i, rozrąbawszy łódź — ażeby nawet śladu nie zostało po nim żadnego, poszedł na dno. Tu obrano go królem, i oto istnieje tak, wiecznie żywy, ale



jakby umarli. Nie znający nigdy snu, który śmierci jest przypomnieniem — spoczynku śmierci wiecznie pragnący. A jeszcze mówią niektórzy, iż pokarmów nawet nie przymuje



żadnych, bo co jeno do rąk weźmie, to mu się zaraz w kamień zamienia... Więc i nikt z żywych dotknąć go się nie waży, bo pono wnet każdy kamienieje.

MŁODY KRAB: Jakże ty mu mierzysz ubranie?

RAK: Coprawda, to ja już i tak zeskorupiałem, więc wszystko jedno... Ale zresztą krawcem jestem u niego... ot... dla zwyczaju, bo u króla nadworny krawiec być musi, choćby



ten krawiec ani jednego ubrania w życiu mu nie zrobił — tak, jak ja.

SYRENA: *(która przestała się czesać, zasluchana, po chwili ciszy)* Teraz rozumiem, dlaczego on nie pozwala wspominać o ziemi... I czy niema siły, niema zaklęcia, któreby go z tych pęt kamiennych wyzwoliło i odpoczynek dało upragniony?

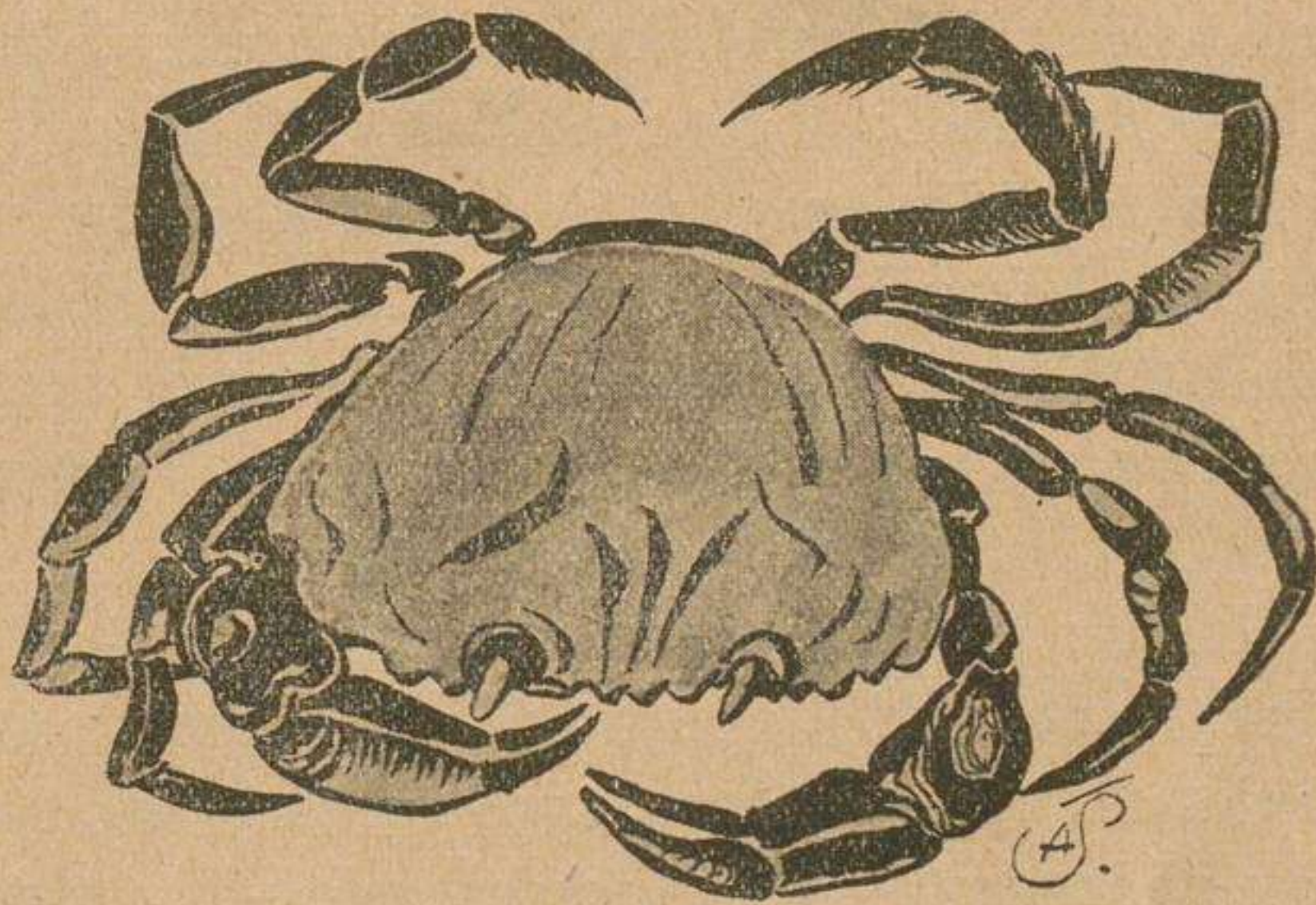
RAK: Jest — mówią. Tylko nikt z nas nie wie, jakie.  
*(Syrena oddala się zadumana)*

RAK: Odchodzisz... już odchodzisz!

SYRENA: Idę nieść innym swoje pieśni — nie tu po nich.

RAK: Złękła się widocznie. A szkoda — myślałem, niechby może na królu Kościeju spróbowała swego czaru... kiedy mnie starego rozmarzyło!... Czy to może ta jakaś muzyka... znowu gra! *(zamysła się głęboko, wszystko umilkło, zasluchane w coraz cichnącą, daleką pieśń)*

STARY KRAB:  
*(wiosłując co tchu)*  
Baczność! Baczność! Czyż nic nie wiecie?



RAK: *(szybko opuszczając wąsy)* Ostrożnie — wąsy! A tym się zawsze zdaje, że wiedzą więcej od każdego.

STARY KRAB: Znaleźli człowieka! żywego człowieka!



RAK: U nas, w tej głębinie — człowiek!

STARY KRAB: To jest... nie człowiek — ale, jakby człowiek.

RAK: Cóż to być może — nie człowiek, ale jakby człowiek?

STARY KRAB: Wiotkie to jakieś, a tak cudne, że podobnego jeszcze oczy moje nie widziały.

RAK: I to ma być człowiek? Nie widziałeś nigdy człowieka!

KRAB: (*pogardliwie strzygnął kleszczami*) Liczko ma niby z pereł i koralu, a włoski świecące, jak promienie, co naraz w głębinę przypadkiem wpadną. A kiedy oczka otwarło, to jakbyś ujrzał niebo, w wodzie odbite.

WODNICE: Dziecko!...

STARY KRAB: A zaś z tych oczek jęły się sypać pereł, od wszystkich pereł, które widziałem, jaśniejsze.

WODNICE: Łzy dziecka!

(*Naraz rozlega się gwar, krzyki i jakby szum zbliżającej się burzy. Nieruchome dotąd kryształowe fale zaczynają się łamać. Z oddali widać płynące smugi mętnej wody, która stopniowo rozlewa się i zatapia całą przestrzeń. Wszystko się kryje w po-  
płochu*)

RAK: (*z godnością, cofając się ostatni*) Uciekli wszyscy! Jak się to boi! Coprawda, trudno im się dziwić. Cisza u nas była od wieków. Sam żyję przeszło sto lat, a żadnej burzy nie widziałem. Ale to jeszcze nic — ta burza. Gorszy będzie gniew króla... A ja go czuję, przez skorupę czuję. Bo przecie jakiś powód tej burzy być musi. Ciekawym jednak zobaczyć owo dziecko!



OBRAZ DRUGI.

*(Sala w pałacu króla Kościeja. Ściany szklane, przez które widać dal wodną)*

KRÓL KOŚCIEJ: *(siedzi na granitowym tronie, ogromny, wychudły. Broda koloru morskiej trawy, opada zwieczona poniżej pasa, także włosy, zamiast palców u rąk — kleszcze. Siedzi wsparty o kościaną butawę, oczy martwe, nieruchomo i ciężko patrzą przed siebie)* Sam jestem... Zawsze sam. Wszystko stroni ode mnie i, gdyby władza moja sięgała tylko tak daleko, jak promień mojego spojrzenia — nie ujrzałbym nigdy żadnej żywej istoty. Sam jestem — chciałem być sam. Lecz skądże ten żal, budzący się w duszy zmarłej i, zda się, skamieniałej na wieki? Skąd ból, jakby mającej się znów obudzić tęsknoty? Pomiedzy mną a ziemią, o której zapomnieć pragnąłem, otchłań bólem wyryta, najgłębsza, jaka istnieje na świecie. Fale zawsze zimne i kryształowo przejrzyste, a tych nie zamąci już nic. Ponad niemi są fale inne, niosące ku brzegom bogactwa ludzkie, ich nadzieje lub smutki. Fale, biegnące ku ludziom, by im dać wszystko, lub żeby oznajmić, że wszystko wzięły. Ale o nich nic nie wiem, wiedzieć nie chcę. Tej tu zaś głębiny żaden ból ludzki, ani smutek nie dosięgnie nigdy. Bo, gdyby choć jedna łza żywego człowieka w tych falach zatoneła, wnetby jasność straciły... wraz z niemi zaś swój spokój — ja. A wtedy gorze wszystkiemu, co żywie!... Lecz wszakże minął wiek, całych lat sto, i nic nie poruszyło zimnych, jakby stężałych fal. Pomiedzy mną a ziemią otchłań najgłębsza, jaka istnieje na



świecie, otchłań, bólem wyryta. Żadna myśl ludzka przemierzyć jej się nie waży. *(Chwilę patrzy nieruchomo przed siebie. Nagle spojrzął, zwykle szklane oczy, przerażeniem szeroko otwarte, w dal wlepił i cały naprzód się podał. Z głębi widać jakby kadłub olbrzymi, toczący się, który macki naprzód wysunął, coraz się rozrastając i mącąc kryształowe fale i nagle owo cielsko nabrzmiate, jakby swych kształtów spotworniałych utrzymać nie mogąc, rozlewa się szeroko mętą powodzią. Ciemność ogarnia salę)*

KRÓL KOŚCIEJ: Kto śmiał!... *(uderza buławą o poręcz tronu, buława rozpryskuje się w kawały)* Hej, światła! Prędzej! Sam tu, kto woli mojej podlega! *(Drzwi od sali otwierają się, kilka małych wodników wbiega z pośpiechem, każdy ze światłem w ręku, wnet oświetlając salę. Za nimi zgodnie obok siebie, pędząc co tchu, stary i młody krab, a także, na próżno starający się ich wyprzedzić — rak, wreszcie inni królewscy służebni i poddani. Każdy, oddawszy ukłon królowi, ustawia się w szeregu. Oczekiwanie)*

KRÓL KOŚCIEJ: Kto śmiał przekroczyć mój zakaz? Gdzie jest ów, co, woli mojej niepomny, klęskę na wszystkich sprowadził?

*(Milczenie)*

KRÓL KOŚCIEJ: Pytam raz jeszcze, a jeśli nie otrzymam odpowiedzi, winny, czy niewinny nie wyjdzie stąd żywy.

BŁAZEN SKORUPKA: *(wśród ogólnej ciszy, rozpaczliwie)* I ja z nimi wraz, w kwiecie wieku! Najmiłościwszy królu, powiem, już powiem! Chciej tylko wysłuchać!... *(ku bliżej stojącym — szeptem)* Co ja mu powiem!



RAK: Mów, co chcesz! Obronisz nas — to i siebie razem!

KRÓL KOŚCIEJ: Mów!

BŁAZEN SKORUPKA: (*odchrząknąwszy, wystąpił naprzód*) Jestem Skorupka...

GŁOSY: O tem wiemy!

SKORUPKA: No, jeśli już zgóry wiecie o wszystkim, to poco mam mówić?

KRÓL KOŚCIEJ: Niech gada, co chce, byle prędzej!

SKORUPKA:  
Postaram się jaknajprędzej. Jestem Skorupka, czyli jestem to coś, w czem już niema tego czegoś, co kiedyś w niem się znajdowało. Dam przykład. Jajko, dopóki nie zjedzone — jest zawsze jajkiem, po zjedzeniu zaś staje się skorupką. Czyli, że jestem czemś, gdzie niema nic. Ale tego — nic, nie oddałbym wszakże za to, co jest w was wszystkich, jako, że żaden z was na słowo się nawet nie zdobył. Nie tylko nie zamknęło mi ust, że ich żadnym nożem nie otworzyć... (*muszle, szczelnie zaciśnięte,*





*otwierają się naraz szeroko*) Nie skreśliło mnie ze strachu w trąbkę... *(meduzy otrzępują i odymają swe spódniczki)* ...Nie zwiesiłem wąsów... *(rak podnosi wąsy, lecz zaraz zaczął je o kraba; mała utarczka)* Ale wnet tu poproszę. *(wyprowadza z pośród zgromadzonych sepię — atramentnicę, z przewieszonym kałamarzem i trzciną do pisania)* Oto nasz wielki pisarz, niech zapisze wszystko, co tu usłyszysz, a nie usłyszysz byle czego, bo moją mowę... tylko atrament, jeśli — królewski?...

*(Sepia skinęła potwierdzająco)*

SKORUPKA: To pewno kiepski...

MŁODY KRAB: Jak twój dowcip!

SKORUPKA: Nieźle... wcale nieźle. Wezmę cię na naukę, jeśli wyjdziemy stąd cało! A teraz zaczynam! Będę stawiał pytania. Ponieważ nikt nie chce wskazać winnego, więc niech powie każdy — co kto wie?

*(wszyscy patrzą bezradnie po sobie)*

BŁAZEN SKORUPKA: Co kto wie... pytam. Będę liczył do trzech... Zaś jeśli na trzy nie otrzymam odpowiedzi... Nikt z was stąd żywy nie wyjdzie, jak oznajmił król. Oddacie wszyscy głowy. Coprawda, w kłopotie będzie kat, któremu tych waszych głów szukać wypadnie... *(do bliżej stojących)* Mówcie nareszcie! Byle co mówcie, żeby czas przedłużyć. Ja tu obracam językiem, niby kołem młyńskim...

MŁODY KRAB: Istotnie, że nie lżej.

SKORUPKA: No! to mówcie sami. Milczą wszyscy, jakby wody w usta nabrali. Coprawda, tutaj o to nie trudno!

STARY KRAB: *(wysuwając się nagle)* Ja wiem.

GŁOSY: Ja wiem... i ja wiem.



SKORUPKA: Teraz każdy chce mówić! Krab ma głos.

RAK: Ten znowu naprzód się wysunął, jak zawsze.

STARY KRAB: My wszyscy wiemy. Stało się nieszczęście, spokój wód naszych został zamacony, ale nikt z nas nie jest winien, nikt nie przekroczył twojego zakazu, królu.

RAK: *(do Meduzy głośno)* I czy to warto było tak się pchać, żeby tylko tyle powiedzieć! Każdyby to potrafił.

STARY KRAB: *(przyciszając głos)* Mógłbym dodać coś więcej... Kto wie, czy to ty swoim opowiadaniem nie narobiłeś całej biedy.

RAK: Prędzej ty, swoją wieścią o tym — niby człowieku, co to jednak — nie człowiek.

GŁOSY: O człowieku?... Co za człowiek?

KRÓL KOŚCIEJ: O jakim człowieku? Czas wreszcie, żebym wiedział. Wszak powiedziane było, że tej głębiny nie dosięgnie ani smutek, ani żadne nieszczęście ludzkie, bo inaczej... Ta otchłań najgłębsza, jaka istnieje na świecie... Kto tu człowiekowi wskazał drogę?

*(drzwi otwierają się wchodzi Polip, bardzo stary, kulejący, garbaty — pod płaszczem trzyma ukrytą Marcysię której, tylko główka z pod fałdów widnieje)*

BŁAZEN SKORUPKA: Sam patriarcha... teraz zaczną się sądy według prawa, serca i sumienia — nic tu po mnie.  
*(daje nura w tłum)*

RAK: *(do Meduzy, wskazując na Polipę)* I jego podniosło, a tego nie łatwo ruszyć z miejsca.

KRÓL KOŚCIEJ: Co powiesz, mistrzu? Mądrość twoja



tak prze zemnie ceniona, może użyczy nam światłości swojej i wskaże winowajcę, aby inni nie ucierpieli na próżno.

POLIP: Winien jestem ja. Mnie ukarz, królu, bom ja to dziecko przywrócił życiu. Oto jest.

*(odstania płaszczy)*



*(Marcysia stoi spokojnie, uśmiechnięta, rozglądając się dookoła, tylko widok króla zastanowił ją nieco)*

KRÓL KOŚCIEJ: *(po chwili)* Winnym jesteś ty — ty,











który z pośród nich wszystkich jedyny bliskim mnie się zdawałeś, gdyż my obaj, chociaż nie umarli, przeszliśmy jednak tę granicę, na której kończy się życie.

POLIP: (*kiwając ciężko głową*) Tak... byłem ci bliższy. Zdawałem się bliższy. Lecz ja tęskniłem wciąż, gdy w tobie tęsknota żyć przestała.

KRÓL KOŚCIEJ: (*twardo*) Przestała! Tak... żyć przestała.

POLIP: Z miejsca ruszyć mi się trudno, jestem stary i sam... jak ty, bo wszyscy moi odeszli gdzieś wysoko, skąd widać niebo, za którym tęsknili zawsze. A ja do nich tęsknię... do dzieci moich!... Królu, czyś ty nigdy nie zaznał słodczy pieśczoćy dziecięcej?

KRÓL KOŚCIEJ: (*krótko*) Nigdy... Więc i ten jedyny bliski, któremu, choć nazwy przyjaciela nie dawałem, ale jednak sądziłem, że go w nim miał... Niech i tak będzie. (*Nagle ostro, wskazuje Marcysię, nie patrząc na nią*) To przestępstwo śmiercią ukarane być musi. Weźcie ją, a ponieważ jest z ziemi, — więc zakopać ją w ziemi... tylko głęboko!

POLIP: Królu, ależ to dziecko!

KRÓL KOŚCIEJ: Tembardziej, że dziecko! (*zapada w zwykłą sobie skamieniałość. Ogólny szmer*)

RAK: (*z rozrzewnieniem*) Tejbył dopiero uszył sukienkę! I byłaby to najpiękniejsza praca mojego życia!

MŁODY KRAB: (*wyrywając się*) Dziecko przecież nie jest jeszcze człowiekiem. Ono nie wie, co to jest smutek,

O małej Marcysi i o gwiazdkach z nieba.



albo nieszczęście... A cała rzecz w tem, że tu niema wstępu dla człowieka.

RAK: Raz chociaż odezwałeś się rozsądnie!... Co tu gadać, dobra krew — choć to i nie dorosłe jakieś... Dajże gęby!

*(ściskają się)*

MEDUZA: *(skrzecząc)* Dziecko!... Ale płakała, więc była smutna! Dlaczegoż ona płakała, jeśli nie ze smutku?

MŁODY KRAB: Będiesz zaraz cicho! Bo ci wnet te wszystkie twoje falbaneczki i kryzeczki...

*(strzyże groźnie kleszczami)*

MEDUZA: *(cofając się)* Ty... ty krawczyku jakiś.

MŁODY KRAB: Stara baletnica!

RAK: Najlepiej ją zapytać, dlaczego płakała?

MEDUZA: A tak! Dlaczegoś płakała, powiedz!

MARCYSIA: Płakałam... bo... ja myślałam, że tu są gwiazdki, a tu niema gwiazdek i nie wiedziałam, jak stąd wyjść, a ja muszę przecie szukać gwiazdek.

MEDUZA: *(nastrzępiwszy się)* Tu niema gwiazd! Najlepiej chyba wiem o tem ja, ochmistrzyni królewskiego dworu. Niech wyjdą gwiazdy!

*(różne gwiaździste twory występują naprzód i krążą dookoła Marcysi)*

MARCYSIA: *(zrazu uradowana, potem zawiedziona)* Eh, nie!... One nie błyszczą wcale! *(dotknąwszy jednej)* I kłują!

MEDUZA: *(znów nastrzępiona, posuwa się ku Marcysi)*  
*(Młody Krab strzyże groźnie kleszczami)*



(*Meduza chowa się*)

RAK: A nacóż ci potrzebne były gwiazdki?

MARCYSIA: Ja szukałam gwiazdek dla Staśka... Bo Staszek bardzo chciał... Więc ja dla niego.

MEDUZA: To nie dziecko — to już cała kobieta.

(*Młody Krab rozpędza się ku Meduzie*)

MEDUZA: (*szybko*) Szkoda byłoby jednak, gdyby ją zakopali.

MARCYSIA: A czy to będzie bolało, jak zakopią! (*po-  
ciągając Polipę za rękaw*) Prawda, że to nie boli? Bo, gdy  
mamusię zakopali, to ona nie mówiła nic.

POLIP: (*jakby się obudził, podniósłszy głowę*) Nie po-  
zwalam! Na wykonanie tego wyroku ja nie pozwalam!

KRÓL KOŚCIEJ: (*drgnął, twarz jego, zwykle kamienna,  
skurczyła się*) Ty śmiesz!

POLIP: Dziecko to szło z ufnością w głębinę, ku gwiazdom  
radośnie wyciągając rączki. Czyliż mogłem pozwolić?...  
Obudziłem ją do życia i, otuliwszy płaszczem, przywiodłem  
tu. Kara niech na mnie spada!... Ona nie wiedziała o niczem.

KRÓL KOŚCIEJ: Zburzyła mój spokój.

POLIP: Więc ukarż mnie! Weź mi życie, jeśli masz  
dość na to mocy, a błogosławić cię będę!

KRÓL KOŚCIEJ: (*ciężko*) Wiesz przecie, że takiemu,  
jak ty, życia odebrać nie mogę, jako też sam go nie mogę  
utracić!

POLIP: Ona niewinna — więc według praw naszych  
nie istnieje dlań kara.

KRÓL KOŚCIEJ: Ale ja mam władzę.



POLIP: A ja mam prawo. (*chwilę mierzą się oczyma*)

KRÓL KOŚCIEJ: Więc według prawa... masz słuszość, prawo szanować należy... Nasze prawo zabrania być bezczynnym, otóż... pracę dla niej obmyślę ja sam.

POLIP: Przeciw temu nic mi powiedzieć nie wolno.

KRÓL KOŚCIEJ: Niech podejdzie bliżej!

(*Polip wzięwszy za rączkę Marcysię, przyprowadza ją do stopni tronu*)

KRÓL KOŚCIEJ: (*po chwili*) Masz mi policzyć włosy. Czy rozumiesz? Wszystkie włosy, jakie mam na głowie i puszcę cię wolno, a nawet obdarzę hojnie. Ale jeśli chociaż o jeden się pomylisz!..

(*szmer wśród zgromadzonych*)

KRÓL KOŚCIEJ: Lub może z was kto podejmie się tej pracy? Wówczas także gotów jestem puścić ją wolno.

(*wszyscy patrzą po sobie*)

KRÓL KOŚCIEJ: Więc nikt!... (*do Marcysi*) Czy rozumiałaś, czego chcę?

MARCYSIA: Rozumiem bardzo dobrze: mam zliczyć wszystkie włosy, jakie masz na głowie. Tylko nie mogę przecie tak zdaleka!

(*Polip pomaga jej wejść na stopnie tronu*)

MARCYSIA: (*z ufnością gramoląc się na kolana Kościeja*) Ale jakie splątane... Trzeba wpierw uczesać.

POLIP: Dajcie jej grzebień!... Czy nikt tu niema grzebienia?

MŁODY KRAB: (*z rozpędem*) Ja mam, ale od wąsów.

STARY RAK: (*odtrącając go*) I ja mam, moje wąsy



większe, więc i mój grzebień większy!... Nareszcie przyszła na mnie kolej!... Choć raz jestem pierwszy.

MARCYSIA: *(wziąwszy grzebień raka)* Bardzo splątane!... Czy ty się nigdy nie czesałeś?

KRÓL KOŚCIEJ: *(jakimś nieswoim głosem)* Nigdy... Może, gdyby mi kto był przypomniał... Ale ciesz już, ciesz prędzej!

MARCYSIA: A jaką zimną masz twarz!... Tobie pewno bardzo zimno. Chcesz, ja cię rozgrzeję! *(trąc mu policzki rączkami)* Tak mnie zawsze rozgrzewałam mamusia, kiedy byłam zziębnięta. Ciepłej teraz?

*(Król Kościej nie mówi nic, tylko szklana powłoka, która kryła jego oczy, jakby stopniawszy, spływa w ciężkich łzach)*

MARCYSIA: Ty płaczesz? Nie płacz, tylko nie płacz! *(obejmuje go rączkami i całuje gorąco)* Jakiś ty biedny!





*(Król Kościej ze straszego potwora staje się nagle staruszką o miłej twarzy i białych, jak mleko, włosach)*

MARCYSIA: Ależ ty wcale nie jesteś straszny! Masz takie śliczne białe włosy, może dlatego, że ja ciebie uczesałam!

KRÓL KOŚCIEJ: *(tuląc Marcysię)* Wybawiłaś mnie!... Moja ty dziecino słodka! Nie zlekłaś się mojej brzydoty, a pocałunek twój stopił ten lód, w jakim zakrzepła była moja dusza.

*(Marcysia zarzuca mu rączki na szyję)*

### OBRAZ TRZECI.

*(Na wysepce. Zdaleka widać lesisty brzeg)*





MARCYSIA: Jaka ogromna woda!... Ale to nic!... Staruszek powiedział, że tu znajdę łódeczkę... O!... jest. Jaki biedny ten staruszek. Dziękował... i mówił, że dawniej był okropnie zły, ale teraz już zrobił się dobry. Pożegnał mnie, bo śpieszył bardzo. Mówił jeszcze, że go czeka daleka droga... I dał mi ten śliczny złoty kłębuszek! Łódeczka mnie zawiezie na brzeg, a kłębuszek zaprowadzi, dokąd zechcę. Tylko trzeba, żebym nigdy niteczki nie wypuszczała z rąk. — Tak powiedział staruszek. Wsiadę do łódeczki i popłynę daleko, szukać gwiazdek dla Staszka!

*(widać odpływającą Marcysię)*

KONIEC AKTU DRUGIEGO.



## AKT III.

### OBRAZ PIERWSZY.

MARCYSIA: *(idzie górską ścieżyną, trzymając w ręczce nitkę toczącego się przed nią kłębuszka)* To w górę, to wdół, to w górę — to wdół. Śpieszy mój kłębuszeczek... śpieszy...



a za nim ja. I nie rozwija się niteczka, którą trzymam, choć kłębuszek naprzód biegnie. Na górę idziemy, na sam wierzchołek, gdzie błyszczą dwie gwiazdki złote. Wezmę gwiazdki i przyniosę do domu Staszкови. Staszek będzie taki szczęśliwy!... I ja. Śpiesz, kłębuszeczeku... śpiesz!

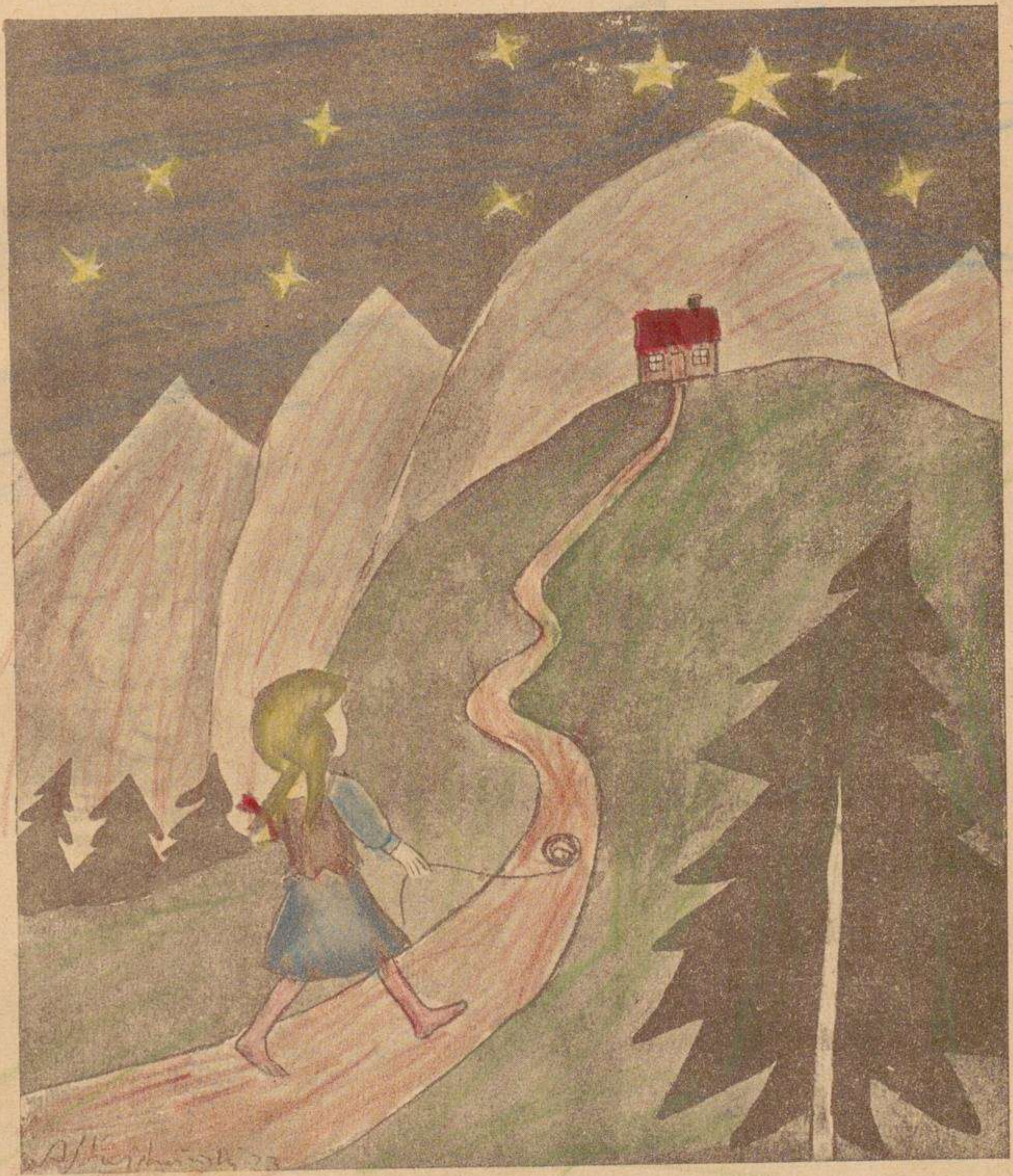
*(Nagle ciemność. Słychać głos Marcysi)*

Jak ciemno! Dokąd teraz pójdę? Z tej strony ściana... i z tej strony ściana... Niteczka wypadła mi z rąk, już jej chyba nigdy nie odnajdę! Co ja zrobię!... Co ja zrobię!

### OBRAZ DRUGI.

*(Wnętrze obszernej groty. W środku malutki domek, którego ściany z gomółek sera złożone, dach — z kromek chleba. Na*











żerdziach, dokoła domku, niby kwiaty, rozwieszono różne przysmaki. Wszystko ogrodzone opłotkiem z czekolady)

MARCYSIA: (klaszcząc w rączki) Jakie to śliczne... Jakby do zabawy! (dotyka płotu) Naprawdę z czekolady. I wrotka uchylone... można wejść! A tu ser i chleb... Taka jestem głodna!... Wziąłabym jedną kromeczkę... A może lepiej zapytać? Tylko niema nikogo. Jabym spytała, ale... taka jestem głodna! (usiłuje wyciągnąć z dachu kromkę chleba, nagle trzask — domek znika i Marcysia znajduje się w ogromnej pułapce. W tejże pułapce — dwie białe myszki i kret)

MARCYSIA: (zrazu oszołomiona, rozglądając się) Gdzie ja jestem? Niby klatka, tylko bez drzwi. Jakże stąd wyjść?... Może wy mi powiecie, myszki, jak się wydostać z tej klatki?

(Myszki, które zrazu zbliżyły się, węsząc ciekawie, rozbiegają się przerażone)

MARCYSIA: Śliczne białe myszki, nie bójcie się, ja wam przecie nie zrobię nic złego!

(Myszki zaszyły się w kąt i, przytulone do siebie, jakby coś szeptały)

STARY KRET: (wyłazł z innego kąta, gdzie spał) Co się dzieje! Kto tu? Dlaczego takie zamieszanie!... Nie mogliby to siedzieć cicho!... Niema okularów!... Gdzie moje okulary? Zawsze mi okulary zawieruszyć muszą.

MARCYSIA: (podbiega) Proszę pana kreta, oto są... leżały obok.

KRET: Obok... obok... Wpierw schowają, a potem podrzucą... ja już wiem. (oglądając się po pułapce) Aha... nowe



dwie. Ale mała będzie z tych jejmościanek pociecha! (*do Marcysi*) A ta skąd się tu wzięła? Coś ty za jedna?

MARCYSIA: Jestem Marcysia i szukam gwiazdek.

KRET: (*pusząc się*) A ja jestem dozorcą. Żebyś wiedzia-

ła — dozorcą. To znaczy taki, którego wszyscy słuchać muszą, a on się nikogo nie boi. A wy jesteście moi więźniowie. Rozumiesz?

MARCYSIA: Więżniowie?...

KRET: A tak. To znaczy, że ruszyć się wam stąd na krok nie wolno, ani na jeden krok.

Bo to każdy zaraz

jeno węszy, któredyby czmychnąć, ale niechno która spróbuje!... Już ja sobie z wami dam rady! Ho! ho!...

MARCYSIA: (*cieniutko*) Niech się pan nie gniewa, panie krecie, mój dobry panie krecie! Ja nigdzie nie pójdę, choć bardzobym chciała!...

KRET: A chciałabyś!... Coprawda, to sam nie wiem, czy i jabym też nie chciał, pomimo, że'm dozorca. Ale ta nasza jedza tak mi już sadła za skórę zalała... jak każdemu z nas





zresztą!... Choć, jeśli spojrzeć, nic oprócz kości nie mam pod skórą. Sroga bo jędza... oj, sroga!

MARCYSIA: To ja jestem u Jędzy?

KRET: U Jędzy Krzywogęby. Patrzała ci zawsze krzywem okiem na wszystkich, więc też jej wkońcu gębę przekrzywiło, całą na lewą stronę, i, jak spojrzeć jej trzeba na prawo, to się nieraz plecami do przodu wykręcić musi, bo inaczej nic nie zobaczy.

MARCYSIA: To może ona mnie zje?

KRET: Eh, nie! Ma ona jadła dosyć, tylko na korzyść jej ono nie idzie. Taka chuda, jak my tu wszyscy, albo zgoła gorzej. Istna śmierć angielska, która najbardziej pono ze wszystkich śmierci jest chuda.

MARCYSIA: (*uspokojona*) A dlaczego ona taka chuda?

KRET: To wszystko przez złość i przez chciwość. Bo kiedyś można była, jak mało kto na świecie, ale skąpa i chciwa taka, że bogactwa garnała i garnała, a nigdy kawałka chleba ubogiemu nie dała, nawet sierocie, tylko biednych precz psami szczuła. I ma zato pokutę... Głód ją wieczny trapi. Wciąż jeść woła. Kucharze ledwo nadażyć mogą z gotowaniem... Najchętniej to w śpichlerzu przesiadywać lubi, że to ma wszystkie zapasy pod ręką. Siedzi tam godzinami i je. A chodzi — także je. A gdy spać się położy — to jeszcze przez sen jeść woła i aż jęczy z głodu. Ona je, a ja złość i zgryzota zjada. Taka już na nią kara zato, że nikogo nigdy nie nakarmiła. A trwać to będzie tak długo, dopóki tej góry, w której zamknięta siedzi, nie przegryzie. Bo wszyst-



ko, co tu widzisz naokoło, jest wewnątrz góry... Można sobie zęby połamać! Co?

MARCYSIA: To ona jeszcze i ziemię je?

KRET: Zrazu próbowała, ale nie było jej do smaku. Więc poszła po rozum do głowy, nastawiła pułapkę i łapie, co się da: szczury, myszy, krety... A tak. I teraz my tu wszyscy dla niej ziemię gryźć musimy. I ciebie to samo czeka, już ja wiem.

MARCYSIA: Gryźć ziemię! Jakże to... Ja nie potrafię... i... ja nie mam czasu... muszę gwiazdek szukać.

KRET: Jakich gwiazdek?

MARCYSIA: Takich złotych, co ślicznie świecą.

KRET: Słyszałem coś o takich gwiazdkach. Leżą głęboko w ziemi. Tak, tak! Wiem, że są, ale sam nie widziałem ich nigdy, mam zbyt krótki wzrok.

MARCYSIA: Są gwiazdki w ziemi?... A ja myślałam, że tylko na niebie.

KRET: Są, możesz mi wierzyć. Błyszczą ślicznie... Widziałem nawet, jak się to nazywa... poczekaj... Eh, zapomniałem!

MARCYSIA: Mój dobry, mój drogi panie krecie! (*bierze łapkę kreta i głaszcze pieścotliwie*) Pomóż mi!... Powiedz, gdzie znaleźć te gwiazdki!

KRET: (*rozrzewniony*) Takie to jakieś słodkie i przy-  
milne! A pogłaskała, to się aż koło serca ciepło zrobiło.  
Hm!... (*drapie się w głowę, przyczem okulary spadają mu na nos*) Chciałbym ci pomóc, ale... jeśli prawdę rzec — sam tu siedzę zamknięty, choć jestem niby dozorcą. Kluczów



ta jędza nie powierza nikomu. Pójdź do borsuka! On jest starszym przy robotach, więc wie o wszystkim, nawet o tem, co się w ziemi dzieje. On jeden chodzi zawsze wolny, ma zaufanie, bo sam stroni od każdego i nawet z nikim gadać nie chce. Zwyczajnie — borsuk! Powiedz mu, że jego kum, kret, ciebie posyła — bo dla mnie ma pewne względy.

MARCYSIA: Jakże ja pójde do niego, kiedy nikomu wyjść stąd nie wolno?

KRET: A prawda! Mała taka, a już jakieś pomiarkowanie ma. Mnie, starego, zawstydziła!... Niema rady, musisz czekać, aż ci jędza do siebie przyjść każe. To cię nie minie, możesz być pewna. Już ja wiem.

MARCYSIA: Dobrze, to ja zaczekam.

KRET: U jędzy spotkasz borsuka, bo inaczej — trudno. Zaś ona go wciąż przywołuje, żeby jej powiedział, czy w pracy końca nie widać. Ale jaki tam koniec! *(po chwili)* A pamiętaj, jak będziesz z nim rozmawiać — krzycz głośno, bo on głuchy!

### OBRAZ TRZECI.

*(Spichlerz w domu Jędzy Krzywogęby. Zamiast drzwi w głębi, zasuwany otwór, tuż przy ziemi. Pod jedną ze ścian niski, z obszernem paleniskiem piec, w którym tli słaby ogień)*

KRZYWOGĘBA: *(siedzi na zydelku, przed nią stół z górą kielbas i wszelkiego mięsiwa. Obok na ławce olbrzymie chleby, z drugiej strony parę gąsiorów. Krzywogęba je łapczywie, popijając z gąsiora)* Zjadłam już 39 *(licząc kółka kielbasy)*



a zostało 13. Co za fatalne liczby! według zaś rachunku — wszystkich było... Choć pytanie, czy kto ze służby czego nie utaił!... Tymczasem głód, jak dokuczał — tak dokucza



Zeby choć raz się najeść dosyta!... A ci tam pewno radzi, że mnie niema! Hej!... (*klaszcze w dłonie*) ruszcie się który! (*gdy nikt nie przychodzi, chwyta kawał kielbasy, który okręca na ręku, nie przestając jeść*) Z komina najlepiej ich widać (*włazi do pieca i słyszeć, jak się gramoli do góry, klnąc i zrzędząc. Po chwili wraca osmolona*) Zdaje się, że bardzo



naprzód się posunęli. Ciekawam, co powie Borsuk. Może już dziś koniec?... (*jedząc łapczywiej*) A tu jeszcze tyle tego zostało! A nie wolno mi będzie nic wziąć ze sobą. (*je coraz prędzej. Cisza*)

BORSUK: (*włazi otworem, mówiąc — huczy*) Daruj mi pani, że nie pośpieszyłem natychmiast na twoje wołanie, ale zaszła jedna niezwykła okoliczność.

KRZYWOGĘBA: Co — może koniec?

BORSUK: Goniec — eh, nie, to żaden goniec, poprostu jakaś mała dziewczynka, która niewiadomo jak do pułapki trafiła.

KRZYWOGĘBA: Koniec — ja pytam, czy koniec!

BORSUK: Do końca jeszcze daleko. Według moich obliczeń... Mam tu gdzieś wszystko zapisane... Sto milionów pięćkroć sześćdziesiąt osiem tysięcy i sto dziewięćdziesiąt dziewięć i pół mili wynosi cała odległość, jaką przebić mamy w górze. Jest to wyliczenie w przybliżeniu — rzecz prosta. Ale według przypuszczeń, omyłka może być bardzo mała, na jaki miljon, nie więcej... Teraz dalej... Dziennie posuwamy się na odległość...

KRZYWOGĘBA: (*dławiąc się*). Och... ooo! Nie mogę... zła... pać...

BORSUK: (*nie śpiesząc*) Gdybym tylko wiedział, że mi wolno! Według najściślejszych obliczeń, mocne uderzenie mniej więcej w okolicy czwartego nerwu karkowego, w takich wypadkach, jak oto ten... jest najwyraźniej wskazane. Inaczej mówiąc, jeśli osobę duszącą się trzepnąć dobrze w plecy...



Nie wiem tylko, czy szacunek i bojaźń, jakie w danym wypadku żywie, pozwolą mi...

KRZYWOGĘBA: Ależ wal... Tak... tak... nie bój się... och!

BORSUK:

(uderzając je-  
dzą kilkakrot-  
nie) Czasem  
raz niedość.

KRZYWO-  
GĘBA: Lżej  
mi... Och!...  
lżej! Czegoś

czekał? Mówiłam — wal!

BORSUK: Żal!... natu-  
ralnie żal... (mruczając) żeś się  
dotąd jeszcze nie udławiła.

KRZYWOGĘBA: A moc-  
ną masz łapę! Nie myślałam,  
żeby tak mogła bić.

BORSUK: Źle, czy dobrze  
słyszałam! Pić!... (zerkając  
ku gąsiorowi) Nicbym nie  
miał przeciwko temu.

KRZYWOGĘBA: No, już  
wypij sobie raz trochę!

Niech tam. Przecież uratowałeś mi życie.

BORSUK: (chwyta gąsior) Trudno odmówić, kiedy pro-  
szą!... Coprawda, należy mi się nagroda... Dobre wino!...













Odrazu raźniej się zrobiło. Ani kropelki, według najdokładniejszych obliczeń... w przybliżeniu, oczywiście w przybliżeniu!... (*odwraca gąsior do góry dnem*) O!... jedna... dwie... trzy... pięć kropel, jak na lekarstwo. Tylko tyle zostało. (*mrugając na Krzywogębę*) Ale uratowałem ci życie... co? Nie spodziewałaś się... Dzielny jestem, co? Zupełnie inny duch wstąpił w człowieka!... Gdyby tak jeszcze przegryźć kiełbasą!

KRZYWOGĘBA: (*która krzotała się po śpichlerzu, odwracając się nagle*) Jeszcze mi tu będziesz wszystko wyjadał... nie dość, żeś pił! (*odwracając gąsior do góry dnem*) Ani kropelki! Moje najlepsze wino! Gdybym była wiedziała, wołałabym poczekać... Nie umarłabym przecie.

BORSUK: (*obejmując z rozrzewnieniem pełne jeszcze gąsiora*) Niech chociaż do was się przytulę!

KRZYWOGĘBA: Pijany... Zupełnie pijany!

BORSUK: Kochany... Co słyszę!... Powiedziała — kochany! Niema to jednak, jak dobre niewieście serce. Cudzą biedę zawsze odczuje. Człowiek sam na świecie, jak ten palec!... Ani pożałuje nikt, ani przygarnie! Nic, tylko praca i praca! A tu takie jedno dobre słowo i jakby wszystko odrazu pojaśniało. Kochany!... Dawno mi tego nikt nie mówił! I ktoby się spodziewał po takiej Krzywogębie! Mnie się zdaje, że ona nawet nie taka bardzo krzywa!

KRZYWOGĘBA: (*szukając dookoła*) Zaraz ja ci tu pokażę, poczekaj! I tobie wnet się gęba przekrzywi, ale tak, że cię matka nie pozna rodzona.

BORSUK: Żona... Masz tobie! Kobieta — to zaraz do



ożenku. Jabym się tam jeszcze nie śpieszył, bo kawalerski stan, nawet dla takiego starego, jak ja, zawsze nie bez uroku. Ale można spróbować, dlaczego nie! Chodź więc w moje objęcia, żono!

KRZYWOGĘBA: *(która tymczasem znalazła kij, podstawiając go Borsukowi)* A może tego spróbujesz przed ożenkiem!

BORSUK: Masz tobie! Z chwilą, kiedy mi powiedziała „kochany“, to powinna była... Tu pij, a tu — kij. Eh, z kobietą nigdy nic obliczyć nie można! *(chwyta stojący najbliżej gąsior i, uciekając, śpiewa)*

Zawsze pełen chwały  
Kawalerski stan.  
Gwiżdżę na świat cały,  
Gdy mam pełny dzban.

Afekt mój wzgardzony,  
Miast uścisków — kij.  
Niżli szukać żony,  
Masz co pić — to pij!

KRZYWOGĘBA: Upił się, niema rady. *(sprzątajac w spiżarni)* Pochowam tylko trochę, żeby wszystko nie było tak na widoku. Zawsze bezpieczniej. A teraz muszę pędzić, bo gotowi tam nie wiem jak nabroić. Tylko wpierw do pułapki zajrzeć trzeba... Może się co złapało? Muszę też raz sprawdzić, wiele szynek się wędzi w kominie. Zapominam zawsze. *(włazi do pieca)*



STARY SZCZUR: *(w ubraniu górniczem z łopata, wystawiając głowę przez otwór)* Poszła... Chodźcie żywo! Ale... mieć się na ostrożności, bo to z jędzą sprawa!

*(Przez otwór wbiegają trzy szczury, również w ubraniach górniczych, jednocześnie z różnych kątów śpichrza wysuwają się głowy szczurze, patrzące bacznie)*

STARY SZCZUR: Żywo do roboty, nie traćmy czasu!

PIERWSZY SZCZUR: To nie taka robota, jak tam, że ciemno — choć oczu u nietoperza pożyczaj, a odetchnąć — to aż w nosie wierci od kurzu. *(kicha)* I tu wierci także, ale od zapachu!...

DRUGI SZCZUR: Ciagle kichasz!

PIERWSZY SZCZUR: To tylko tak, żeby nie stracić wprawy. *(garnąc łopata ze stołu, co się da, je chciwie)* Dawnom tego nie widział.

WOLNY SZCZUR: *(który wyszedł był z dziury w podłodze, siedząc opodal, do drugiego wolnego szczura)* Jak to je, aż wstret patrzeć! Nie chcę się łączyć z tą hołotą.

DRUGI WOLNY SZCZUR: Ani ja. Weźmijmy, co nam trzeba, i ruszajmy do domu!

STARY SZCZUR: Patrzcie mi, jakiś to pan! A pamiętasz, jak przychodziłeś do mnie, kiedy i ja miałem swoje śpichrze i wszelkich zapasów wbród?

DRUGI WOLNY SZCZUR: Cóż, natrafiłem na złą gospodynię i w moim śpichrze były pustki. To się każdemu przytrafić może.

STARY SZCZUR: Może się też przytrafić, że wpadniesz do pułapki. Bywa i tak.



PIERWSZY WOLNY SZCZUR: Bywa... ale, jeśli kto mądry... Ja się tam żadnych pułapek nie boję... (*wskazując na czoło*) Mam coś tu!

STARY SZCZUR: Co... tu!... Rozum jest najczęściej tylko od tego, abyś wiedział, gdy już wpadniesz, że w pułapce siedzisz.

CHOMIK: (*który wszedł wraz z innemi i, przykucnąwszy, wnet drzemać począł, budząc się*) Jest o co się spierać! Co komu sądzone — to będzie, z rozumem, — czy bez rozumu.

PIERWSZY SZCZUR: (*do trzeciego*) A ty dlaczego siedzisz taki odęty? Nie chcesz jeść?

TRZECI SZCZUR: Och, przypomniały mi się dawne czasy, kiedy byłem wolny, jak ci dwaj, i mogłem co noc chodzić na taką wyprawę.

PIERWSZY SZCZUR: I dlatego nie korzystasz z dzisiejszej! Lepiej rydz — niż nic! Ja ci radzę, nie trać czasu, bo czas nie czeka, a nasza jędra nie żartuje.

DRUGI WOLNY SZCZUR: (*do pierwszego*) Wiesz — zapasy zapasami, a, co zjemy, tego nikt nam nie odbierze! No i... pokrzepiwszy się, może będziemy mogli jeszcze więcej na siebie naładować.

PIERWSZY SZCZUR WOLNY: Może masz słuszość!

CZWARTY SZCZUR: (*wbiegając przez otwór, podwiązany chustką i trzymając się za zęby*). Porzuciliście mnie... goniłem was!... Wołałem!

PIERWSZY SZCZUR: Wszystko jedno — nie możesz nic jeść.

CZWARTY SZCZUR: Ale choć powącham!... A jednak



spróbuję... Oj... ot, jest co jeść, a zębów niema... Pracował, pracował i dorobił się!

DRUGI SZCZUR: Cierpliwością i pracą dorobisz się na starość kalectwa, tak powiedział jakiś mędrzec. Na własne uszy słyszałem, siedząc koło jego krzesła i wyjadając okruchy, które mi przed sam nos spadały... Bo, jako mędrzec, nie wiedział nigdy, co się działo na ziemi, można więc było zbliżyć się do niego bezpiecznie.

CZWARTY SZCZUR: *(żałośnie)* Chociaż powącham!

PIERWSZY SZCZUR: *(ciągnąc poleć stoniny)* Ależ ciężki...

DRUGI SZCZUR: Bo ty zawsze bierzesz najwięcej. Ja też chcę!

*(ciągnąc ku sobie)*

PIERWSZY SZCZUR: Mało ci jeszcze! Możesz brać, co ci się podoba!

DRUGI SZCZUR: Kiedy właśnie to mi się podoba! Najgrubszy poleć!

TRZECI SZCZUR: Ja was pogodzę.

*(wyrywa obu stoninę i ucieka)*

STARY SZCZUR: Wstyďte się, wieczne swary! A tu mysiątka stanęły, jak trusie i nawet zbliżyć się do stołu nie śmieją. *(Do myszek, które w fartuszkach, z koszyczkami, uszykowały się rzędem, strwożone, nie śmiejąc podejść)* Chodźcie, chodźcie bliżej! Niech i was obdzielę. Pomóż mi, chomiku!.. Co to, śpisz?

*(Napętnia koszyczki myszek, które ładnie dygając, wychodzą, tak, jak weszły, rzędem, jedna za drugą)*



CHOMIK: (*splotoszony*) Nie, nie... ja sobie siedzę i myślę... Prawdę rzec... (*ziewa*) mógłbym pójść! Nic tu po mnie... Nawet nie wiem, jak się zabrać do czego. (*obchodząc chleb*) Zapach niezły... Ale...to nie to!... Co innego w polu, latem... Słoneczko błyszczący, jak złote, kłosy koło kłosów stoją i gwarzą między sobą... Usiądziesz na miedzy i słuchasz, i tak rzewnie się robi w sercu... Siedzisz i słuchasz, jak kłosy szumią i poisz się wonią miodową...

STARY SZCZUR: Na marzenia się mu zebrało! Weź się lepiej do chleba, zamiast go obwąchiwać i uzalać się nad straconem szczęściem, które nie wróci.

CHOMIK: Oj, było szczęście... Niebo jaśniało mi nad głową... a pole wokoło szerokie... że iść mogłeś — hen!... A tu, kędy spojrzysz — ściany! Ot, więzienie!... Tak!... było szczęście, było... ino nie wiedział wtedy, że to szczęście!

STARY SZCZUR: Masz chleb, to grunt... Czeka — widzę, że sam sobie nie poradzisz!

(*pomaga mu ullać kawał chleba*)

CHOMIK: (*gryząc chleb*) Żeby tylko jędra nie nadeszła!

STARY SZCZUR: Poszła do pułapki, a to kawał drogi. Po powietrzu przecie jeszcze nie lata.

PIERWSZY SZCZUR: Oho... Widziałem raz, jak śmigła na miotle.

NIETOPERZ: (*wpada nagle, wszyscy splotoszeni rozbiegają się*) Nie widzę nic! Na dwa kroki przed sobą nie widzę... Co to spóźniłem się, nie słyszę ani głosu.

STARY SZCZUR: (*wyłażąc z poza worków*) To swój, a myśmy się przelekli! Wpadłeś z takim hałasem!



NIETOPERZ: Więc jesteście!... Najgorzej, że nie widzę nic.

*(coraz potrąca o kogoś)*

PIERWSZY SZCZUR: Mówiłeś, że nie damy sobie rady bez ciebie.

DRUGI SZCZUR: Wszak miałeś nam świecić!

NIETOPERZ: Bo czyż nie pomagam wam! Ale co zrobię, kiedy latarka moja zgasła. Palila się jeszcze przed chwilą, może uda się naprawić.

*(zaszywa się w kąt)*

*(W kominie szmer. Wszyscy nastuchują)*

STARY SZCZUR: Co to?

PIERWSZY SZCZUR: Nic.. to ten ze swoją latarką.

CHOMIK: Pójdę na zwiady!...

DRUGI SZCZUR: Pójdzie i będzie myślał... myślał, aż zaśnie!

PIERWSZY SZCZUR: *(ciągnąc z kąta flaszkę)* Patrzcie, co znalazłem — teraz dopiero będzie zabawa!

STARY SZCZUR: Oj, źle... jeśli zaczną pić!... Pójdę i ja.

DRUGI SZCZUR: Idź, idź — staruszkule, a nie oglądaj się poza siebie, bo mógłbyś ujrzeć swoje młode lata, jak, uciekając wstecz, drwią z ciebie.

STARY SZCZUR: A wy patrzcie przed siebie, bo moglibyście ujrzeć wasze stare lata, jak, biegnąc ku wam, na próżno gonią młode.

TRZECI SZCZUR: Jeśli więc nie należy patrzeć za siebie, ani przed siebie, to gdzie!



CZWARTY SZCZUR: Patrzmy do góry, najlepiej patrzmy do góry.

DRUGI SZCZUR: Czy w ten sposób zapomina się najłatwiej o bólu zębów?

STARY SZCZUR: Patrzcie... patrzcie do góry!... Na wysokość komina, conajmniej, bo jędza znikąd, jak z komina na was nie spadnie. Ja idę... jeszcze mi skóra moja miła.

DRUGI SZCZUR: Dobrze, że poszedł, ciągle tylko wszystkich uczy! *(pijąc)* Szkoda, że już dno prześwieca.

CZWARTY SZCZUR: Dajcie i mnie trochę... To chyba nie zaszkodzi!

TRZECI SZCZUR: *(z gąsiorem)* Ot, co wywachałem... A dużo tam jeszcze tego jest... Starczy dla wszystkich!

DRUGI SZCZUR: Na taki widok... teraz, gdyby muzyka, choćby kocia, zatańczyłbym z wielkiej uciechy.

*(Składa ukłony przed każdym gąsiorem, podczas, gdy trzeci szczur wynosi coraz nowe, ustawiając je szeregiem)*

PIERWSZY WOLNY SZCZUR: *(cisnąc się z drugim koło wyjścia)* Puść mnie!

DRUGI WOLNY SZCZUR: Ty mnie puść!... Przecie masz swoją norę, dlaczego pchasz się tedy.

PIERWSZY WOLNY SZCZUR: I ty masz swoją! Wiesz, nie przejdziemy, za dużo naładowaliśmy. Wiesz co, ja pójdę naprzód, a ty mnie popychaj!

DRUGI WOLNY SZCZUR: Nie, ja pójdę naprzód.

*(W kominie znówu hałas, tym razem głośniejszy)*

PIERWSZY SZCZUR: Co to?

TRZECI SZCZUR: To zawsze ten ze swoją latarką!



DRUGI SZCZUR: *(do nietoperza)* Rzuć i chodź do nas,  
będziemy tańczyć i śpiewać.  
*(Chwyatają nietoperza i potykającego się ciągną na środek,  
śpiewając)*



PIERWSZY SZCZUR:

Stańno, wasze, za koleją  
I przyjrzyj się, jak tu leją!  
Wypijem zdrowie każdego —  
Szczur uczciwy wszak wart tego.

NIETOPERZ: Leją, leją, ale do mojego gardła jakoś  
nic nie trafia.

DRUGI SZCZUR:

Nie wiem, co to smutek,  
Chociaż jestem w biedzie —



Wesół drwię z niewoli,  
Po smacznym obiedzie.

TRZECI SZCZUR:

Po smacznym obiedzie  
Wina gąsior tęgi —  
A zniosę bez szmeru  
Wszelkie losu cięgi!

NIETOPERZ: Dajcież i mnie coś pić, i ja chcę także!  
*(Pierwszy szczur podaje nietoperzowi gąsior, a gdy ten chce go ująć, cofa się szybko — i pije sam. Każdy następny robi to samo)*

NIETOPERZ: Nie widzę nic... Zdaje się, że już go miałem w ręku.

PIERWSZY SZCZUR: Jakto... miałeś! Wypileś przecie połowę.

NIETOPERZ: Ależ ani kropli... zaręczam!  
*(Drugi szczur podaje mu pusty gąsior, nietoperz chciwie pije)*

WSZYSCY: *(otaczając nietoperza kołem)*

Jakże gładko wypił!  
Ani się zakrztusił —  
Wszak to z własnej woli,  
Nikt go nie przymusił.

*(śmieją się)*

NIETOPERZ: *(cisnąwszy gąsior na ziemię, rozbija go)*  
A bodaj was!... Choćby jeden łyk!

KRZYWOGĘBA: *(wyskoczywszy nagle z komina, z miotłą w ręku)*. To wy mi tu jeszcze naczynie tłuc będziecie!...



Już kwadrans czekam, co to z tego będzie — i nie wytrzymałam!

PIERWSZY SZCZUR: *(do trzeciego, uciekając)* Masz teraz cięgi — wzywałeś ich przecie!

TRZECI SZCZUR: *(pocierając boki)* Dobryś, to było tylko tak, dla rymu.

*(Wszyscy kryją się. Dwa obładowane szczury, jednocześnie rzuciwszy się do otworu, ugrzęzły w nim beznadziejnie)*



KRZYWOGĘBA: *(chwyciwszy obu za kark)*. Aha, nowi — tacyście ptaszkowie! Dobrze... dobrze... gdyż brak mi wciąż zębów i pazurów!

DRUGI WOLNY SZCZUR: *(do pierwszego)*. Mówiłeś, żeś mądry, teraz radź!

PIERWSZY WOLNY SZCZUR: Daj mi spokój!



OBRAZ CZWARTY.

(Izba Krzywołęby, w kącie klatka).

KRZYWOŁĘBA: (miotając się, wielce wzburzona) Jakby mnie coś tknęło... Co mówię — tknęło!... Jakby mnie nóż ostry nawskroś przeszył. Przeczucie takie... Powiadam ci. Ledwo zdążyłam znów pułapkę nastawić i śmignęłam, jak ten ptak. Przyczaiłam się w kominie... i że też wszędzie muszę sama. A mówiłam tobie tyle razy!...

WIEWIÓRKA: (w ogromnym czepcu, z pękiem kluczków, stojąc przy klatce, żałośnie) Ale śpieszyłam, śpieszyłam co tchu... kiedy roboty tyle... to tu... to tam! Biegam i biegam...



KRZYWOŁĘBA: A tak, biegasz wciąż wkółko, a pociechy z tego nikomu. Mówiłam wieszać, wieszać i koniec!

WIEWIÓRKA: Ja chciałam, właśnie już szłam.

KRZYWOŁĘBA: A oni przyszli wcześniej... Ale niech-no teraz spróbują... He, he... (zacierając ręce) Wszystko w powietrzu, na żerdziach. Nawet worki z mąką powywieszałam!... Niech spróbują przyjść teraz...

A nicponie!... Co najlepsze, wyjedli, nie licząc, wiele napsuli. Okruchów zebrałam tyle, że na tydzień dla was starczy. No... marsz do klatki, pora spać. Co to — płaczesz?



WIEWIÓRKA: *(rozbijając się i wieszając starannie ubranie, płacząc)* Bo mi żal, że moja praca poszła na marne... Haruję i haruję... i choćby dobre słowo! Dziś, to cały dzień nic w ustach nie miałam, nawet tego kawałka suchego chleba. Nie miałam czasu.

KRZYWOGĘBA: Przypomniałaś mi, że i ja dziś prawie nic nie jadłam. A tak... nawet mi czegoś niedobrze! Pewno z głodu! *(wydobywa z pod poduszki różne zapasy i, rozłożwszy na stole, zaczyna jeść)*. Albo to mi dadzą kiedy zjeść spokojnie! Chyba w nocy. Posilę się i pójdę spać! A ty co się tak z boku na bok przewracasz? Powinnaś spać! Dlaczego nie śpisz?

WIEWIÓRKA: *(wzdychając)*. To także z głodu... Taka jestem głodna!

KRZYWOGĘBA: To pobiegaj sobie trochę wkółko — wnet ci ulży. *(jedząc)* Nie myśl, że coś dostaniesz. Jeszcze tego brakowało, żebym sobie od ust odejmowała! *(ciche pukanie do drzwi)* Kto to!... Aha!... Pewno ta mała, której tu przyjść kazałam. Zapomniałam o niej zupełnie. *(odsuwa rygiel)*

*(Marcysia wchodzi i staje w progu)*

KRZYWOGĘBA: Dlaczego tak zerkasz. Pewno i tobie się też przysmaczków zachciewa!

MARCYSIA: E, nie, nie jestem głodna! To jest, byłam głodna, ale już mi się zupełnie jeść odechciało.

KRZYWOGĘBA: *(oglądając Marcysię)* I co tu robić z taką! Białe niby i delikatne... a dotknąć — więcej kości,



niż mięsa... Nawet na pieczysteby się nie zdało. Pokaż ręce... i siły to pewno żadnej nie ma!... Co umiesz robić?

MARCYSIA: Potrafię w izbie porządek zrobić, pozamiatać podłogę!

KRZYWOGĘBA: Ani mi się waż! U mnie sprzątać nie trzeba, ani zamiatać! Niczego dotknąć się nie wolno, żebyś wiedziała.

MARCYSIA: Dobrze, proszę pani, ja niczego nie dotknę.

KRZYWOGĘBA: Nie dotknę... a kiedy weszła, to jej tylko oczy na cztery strony latały, jakby oczami wszystko połknąć chciała.

MARCYSIA: Bo ja... Borsuk mi powiedział...

KRZYWOGĘBA: Borsuk?!... Onby gadał z tobą?

MARCYSIA: Powiedział mnie... bo ja jemu powiedziałam, że mnie przysłał kret, i mówiłam z nim głośno i wyraźnie!... Ja szukam gwiazdek, więc pytałam o gwiazdki.

KRZYWOGĘBA: Jakie tam gwiazdki?

MARCYSIA: Gwiazdki dla Staszka. Borsuk powiedział, że te gwiazdki, co znaleźli w ziemi, są tutaj, u pani.

KRZYWOGĘBA: Może tam i są, bo ja wszystko chowam. A jakież to gwiazdki?

MARCYSIA: A złote... takie śliczne, błyszczące.

KRZYWOGĘBA: *(wyciąga toból z pod łóżka i wydobywa zeń bryłki złota i trochę drogich kamieni)* Czy nie to?

MARCYSIA: Eh, nie... to nie takie! Gwiazdki mienia się wciąż i mrugają przytem tak wesoło, że radośnie się robi wszystkim na świecie. Bo gwiazdki to są różne dobre uczynki człowieka!



KRZYWOGĘBA: A to są złe uczynki ludzkie. Zawieść i chciwość i zbrodnia i wszystko, co tylko człowieka występny czyni. Innych gwiazd u mnie niema!

MARCYSIA: (*zasmucona*) Niema!

KRZYWOGĘBA: A teraz do roboty. Nie sądź, że ci dam próżnować. Noc jeszcze długa, wyspać się będziesz miała czas. Muszę wiedzieć do czego jesteś zdatna. (*jakby się namyślała, ze złym śmiechem*) Aha, już wiem. (*idzie do izby obok i powraca z ogromnym workiem, który ledwo dźwiga*) Tu są orzechy, trzeba potłuc wszystkie! Łupinki masz składać osobno do jednego kosza, a ziarna do drugiego. I pamiętaj, żeby nic nie brakowało, żeby ani jeden orzech nie został nierozłupany. Pożywienie dla ciebie... (*stawia obok szklankę wody i kawał suchego chleba*). O!... niech nie będzie znów krzyku, że sierocie kawałka chleba nie dałam. A to... (*przynosi cieniutki stoczek, który przytwierdza*). Robota musi być ukończona, zanim się ta świeczka nie wypali. Wtedy ja powrócę. Muszę tylko zajrzeć do spiżarni... Tak mnie coś mdli!... Pewno z głodu!

MARCYSIA: (*sama, bezradnie*) Tłuc orzeszki!... Ja to nawet bardzo lubię! Ale czem? Niema ani kamyeczka, ani nic, chyba ząbkami. (*probuje gryźć*) Tak bardzo powoli idzie, a świeczka pali się szybko! I głodna jestem... Nie można przecie jeść i gryźć orzechy jednocześnie. (*utłamawszy z trudem kawałek chleba*) Głodna jestem bardzo. (*je*) O! Wiewióreczka w klatce!... Biedna, jak ona żałośnie patrzy! Pewno także głodna! Wiewiórki chętnie jedzą orzeszki, ale



jak tu dać, kiedy nie wolno. Dam jej kawałek chleba. Jak go ślicznie wzięła łapkami. Je... naprawdę je!

WIEWIÓRKA: *(zjadłszy)* Dziękuję ci Marcysiu, nakarmiłaś mnie.

MARCYSIA: *(uradowana)* Więc byłaś głodna! Ja od razu pomyślałam, że jesteś głodna, choć nie mówiłaś nic. A dlaczego ciebie zamknęli w klatce?...

WIEWIÓRKA: Jestem szafarką u Krzywogęby. Zamyka mnie na noc, bojąc się, żebym w spiżarni zapasów nie wykradała. Dlatego spędzam noc zawsze w tej klatce.

MARCYSIA: To ty pewno także chciałyś uciec. Kret mówi, że wszyscy chcą stąd uciekać.

WIEWIÓRKA: Eh, nie! Mnie tam wszystko jedno... Dzieci moje dawno w świat poszły. A ja bylebym miała robotę... A tej mi tu nie brak. Gromadzę i gromadzę zapasy i samabym, sobie od ust odjęła żeby coś przysporzyć. To tylko ona taka, że w niczyją uczciwość nie wierzy.

MARCYSIA: O mój Boże!... Zapomniałam, że i mnie czeka robota! A świeczka już do połowy się dopaliła! Co teraz będzie!

WIEWIÓRKA: Chociaż jestem w klatce i od swoich daleko, ale my, zwierzęta, zwykliśmy wspierać siebie w potrzebie, myślę więc, że nie odmówią mi pomocy! Podzieliłaś się ze mną chlebem, chcę ci się odwdziżyć. Połóż się i śpij spokojnie, i niech sen twój niczem nie będzie zamacony. Tylko zgaś świeczkę! Krzywogęba wścieknie się ze złości, jeśli ją znajdzie niespaloną!

MARCYSIA: *(ziewając i tracąc oczka, gasi świeczkę, usiada*



*w kąciuku i, oparłszy główkę o ścianę, bardzo śpiąca)* Staszek  
pewno już dawno poszedł spać!

WIEWIÓRKA: *(zrazu głośno, potem coraz ciszej)*

Z czterech świata stron,  
Wszystkie wzywam was,  
Wiewióreczki,  
Przyjdźcie wraz!  
Próby przyszedł czas.

Z czterech świata stron  
Słyszcie moją wieść!  
Wiewióreczki —  
Jędzę zwieść,  
Dziecku pomoc nieść!

Z czterech świata stron  
Chyże śpieszcie hen!  
Wiewióreczki —  
Chrońcie ten  
Czysty dziecka sen!

*(Marcysia usypia, w mroku słysząc tupot przebiegających  
drobnych nóżek, poczem rozlega się jakby cichy trzask gryzionych  
orzechów)*

### OBRAZ PIĄTY.

*(Wejście do groty rannym brzaskiem rozjaśniona)*

MARCYSIA: *(budząc się)* Spałam tak mocno... Niema  
wiewióreczki... ani jędzy... O!... łupinki z orzechów... Dużo...



dużo. I mój kłębuszek spokojnie sobie na samym wierzchu leży. *(wychodzi z grot)* Słonko tak ślicznie świeci!... Mogę znów iść szukać gwiazdek dla Staszka. *(rzuciwszy kłębuszek na ziemię i wzięwszy nitkę)* Ona mnie zaprowadzi gdzie trzeba. Teraz już nigdy nie wypuszcze jej z rąk!

### OBRAZ SZÓSTY.

*(Wysoko w górach. Tuż pod szczytem domek z wiodącą doń ścieżką)*

MARCYSIA: *(idąc z trudem)* Jak tu wysoko! A co skał... I takich dziwnych, jakby zwierzęta skamieniałe, albo ludzie!... Teraz na pewno znajdę gwiazdki. Byle na szczyt się dostać... Ale przed nocą nie zdążę! Gdyby tak pójść do tego domku i poprosić o schronienie... A może i tam jaka jędza mieszka!... Ale co robić! Zresztą i tak mnie zobaczy. Trzeba przejść koło domku, innej drogi niema... Zapukam. *(puka do drzwi)* Nikt nie odpowiada! *(otwiera cichutko drzwi i wchodzi do domku)*

### OBRAZ SIÓDMY.

*(Izdebka w domku na górze)*

STASZEK: *(leży w łóżku, obok na stoliczku flaszki z lekarskami. Na krzeselku siedzi Marcysia bardzo smutna, ze Staszka oczu nie spuszczaając)*

STASZEK: Gdzie moja drabinka?... Pewno znów mi zabrał! Gdzie drabinka?



MARCYSIA: Jest drabinka, Staszku, oparta o łóżko, wyciągnij tylko rękę!

STASZEK: (*wyciąga rękę i dotyka drabinki*) Dobrze... zrobiłem dziesięć takich, ale co zrobię jedną, on mi zabiera. Tej mu nie dam! Tej mu nie dam!... Bo, wiesz, dziś w nocy... Już postanowiłem... Są takie dwie śliczne gwiazdki nad samym szczytem. Tylko przystawić drabinę, a będę w niebie i zdejmę je sobie. (*niespokojnie*) A może on tu jest?...

MARCYSIA: Nie, Staszku, tu niema nikogo w pokoju, oprócz mnie.

STASZEK: (*wpatruje się w nią*) A kto ty jesteś? Nie widziałem ciebie dotąd... I nie bałaś się przyjść?

MARCYSIA: Czego miałabym się bać?

STASZEK: A smoka, który stoi u wrót!

MARCYSIA: U jakich wrót?

STASZEK: U wrót tego zamczyska... Cóż wciąż pytasz?... A czarownik, możesz go też nie widziała!

MARCYSIA: Jaki czarownik?

STASZEK: Widzę, że nic nie wiesz!... Smok stoi u wejścia, jak to zwykle bywa, i ogniem zionie na tych, którzy chcą się doń zbliżyć. I jest jeszcze koń czarny z białą gwiazdką na czole, co ludzką mową mówi... I wilkołak... i dużo innych... A wszyscy służą jemu. Ale to nie są żadne zwierzęta, tylko zaczarowani rycerze. Oni także szukali gwiazd... ale zły czarownik tych gwiazd strzeże i dostępu do nich nie daje nikomu. Bo, jeśli je kto z nieba zdejmie i na ziemię przyniesie, to wnet poznają wszyscy, jaki on jest zły, że tego



broniał, bo tak cudnie wówczas zrobi się na świecie!... Jak ja chcę pić!

*(Drzwi uchylają się, na progu staje staruszek; na jego skinienie Marcysia podbiega ku niemu, on jej wręcza flaszczkę, mówiąc coś szeptem)*

MARCYSIA: *(powraca i, nalawszy z otrzymanej flaszki lekarstwo, podaje Staszku)*

STASZEK: *(zwraca swoje spojrzenie ku drzwiom, staruszek cofa się)* Kto ten staruszek?... To jakby wujek. Ten, co mi przynosił zabawki, kiedy byłem mały!

MARCYSIA: Więc pamiętasz wujka Tobiasza?

STASZEK: A ty... to ty jesteś!...

MARCYSIA: Poznajesz mnie!... O mój Boże, zrób, żeby on mnie poznał!

STASZEK: Ależ poznaję, naturalnie, że poznaję! Ciebie przyprowadził wuj Tobiasz!... Tylko... Dlaczego ty tak patrzysz... jakie dziwne twoje oczy... Tak błyszczą... i promienie od nich idą, jakby od gwiazd... od tych gwiazd, których szukałem tak długo!...

MARCYSIA: To nie promienie, Staszku, to łzy. Mój Staszku jedyny!... Poznałeś mnie! Ja płacę z radości, żeś mnie poznał.

STASZEK: Ale nie odejdziesz już stąd i nie zostawisz mnie samego... Bo... ja taki zmęczony!

*(Drzwi znowu się otwierają. Na progu staje staruszek i, spojrzawszy na Marcysię, kładzie palec na ustach)*

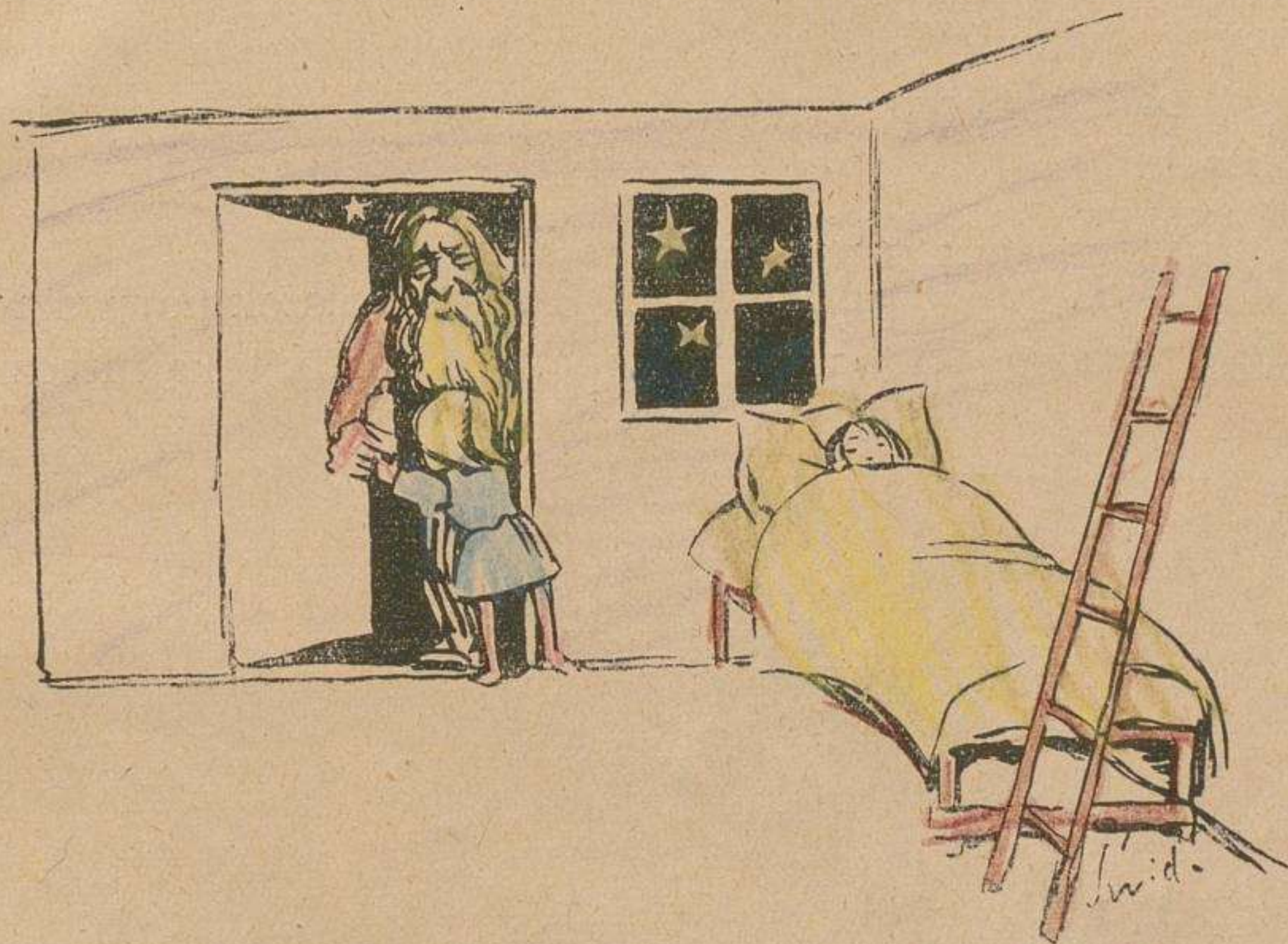
*(Marcysia usiada na krzeselku. Staszek zasypia)*



### OBRAZ ÓSMY.

*(Droga wiodąca ku dolinie. Staszek i Marcysia idą trzymając się za ręce)*

STASZEK: Nie szedłem nigdy tą drogą, staruszek mi ją wskazał. Patrz!... To już nasz las i jezioro. Nie myślałem



nigdy, żebyśmy tak blisko byli domu. Biedna mamusia pewno bardzo się niepokoi!... Trzy dni jak wyszedłem... Tylko mnie się zdaje, że to jakby nie trzy dni, ale już bardzo dawno... Ale powiedz, jak ty trafiłaś do mnie?... Nie zdążyłaś mi nawet opowiedzieć wszystkiego! Bałaś się pewno, idąc sama!



MARCYSIA: Nie, tylko z początku, bo nie wiedziałam dokąd iść... i raz, kiedy zgubiłam niteczkę.

STASZEK: Jaką niteczkę?

MARCYSIA: A od kłębuszka, który mi dał staruszek.

STASZEK: To ty także miałaś swojego staruszka?

MARCYSIA: To jest, właściwie... to nie był taki sobie staruszek, tylko król. Z początku on był bardzo zły i wszyscy się go bali, a potem zrobił się dobry i dał mi śliczny złoty kłębuszek.

STASZEK: A gdzież ten kłębuszek?

MARCYSIA: Został na górze. Twój staruszek powiedział, że nie trzeba go wciąż nosić ze sobą, bo każdy taką niteczkę





z serduszka wysnuć może, byle tylko chciał, i ona zaprowadzi wszędzie, choćby na najwyższą górę.

STASZEK: Jednakże byłbym ciekaw zobaczyć, ale, jeśli staruszek powiedział... A jaki on dobry, ten staruszek! Choć z początku myślałem, że to zły czarodziej.

MARCYSIA: Byłeś wtedy chory.

STASZEK: I chciałem wciąż iść do nieba po gwiazdy. Teraz już nie będę chciał gwiazdek z nieba, bo wiem...

MARCYSIA: Bo wiesz, że są daleko.

STASZEK: Eh, nie, nietylko dlatego... to mi także powiedział staruszek... *(po chwili)* O... widzę dym z naszego komina! Dach prześwieca przez drzewa. *(biegnie pędem)* Mamusiu!... Mamusiu!...

### OBRAZ DZIEWIĄTY.

*(Pokoik, jak w akcie pierwszym. Zmrok. Na niebie zapalają się pierwsze gwiazdy. Matka siedzi na fotelu z robotą, Staszek i Marcysia przy niej)*

STASZEK: Najgorzej było, gdy wpadłem do wody. Wprawdzie nie było głęboko, ale przemokłem cały!

MARCYSIA: I ja wpadłam do wody, ale tam było bardzo głęboko!

STASZEK: To ci się pewno śniło. Jeśli było naprawdę głęboko, nie mogłabyś wrócić. I przemokłabyś! Ja przemokłem i dlatego zachorowałem i ciągle mi się zdawało...

MATKA: Nie, nie, dość już tych opowiadań. Zapomnijmy o tem. Strach pomyśleć! Sądzę, że się nic podobnego nie



powtórzy więcej, bo takie przygody kończą się dobrze tylko w bajce.

*(Chwila ciszy)*

MARCYSIA: O, gwiazdki! Staszku, patrz, na tej samej górze, te dwie gwiazdki, których ja szukałam dla ciebie! Jakie promienie od nich idą!

STASZEK: *(zasuwając zastonę na okno)* Nie, nie... nie tam, ale tu. Staruszek mówił... i ja dobrze sobie zapamiętałem: gwiazdy na niebie daleko i dostać ich nie można, ale one są i na ziemi, w tych oczach, które patrzą na nas kochająco. Jak twoje mamusiu! Twoje oczy — jak gwiazdy... i jej również... Bo i ona mnie kocha... Spójrz tylko! Jak tu jasno u nas teraz i ślicznie! *(w porywie dziecięcego uczucia)* Mamusiu!...

WUJEK TOBIASZ: *(wchodzi obładowany mnóstwem zabawek)* Pukałem kilka razy, ale, nie doczekawszy się odpowiedzi... myślałem, może niema nikogo. A co, mówiłem zawsze, że wszystko skończy się jak najlepiej.

MATKA: Przyszliście pomajstrować trochę. Staszku, przysuń fotel do stołu dla wujka Tobiasza!

TOBIASZ: Nie, nie!... Przyszedłem was pożegnać. Zbyt już długo siedzę na miejscu, czas mi w drogę!

MATKA: A tak, wiem, że to należy do waszych przyzwyczajzeń... Jesteście wiecznym włóczęgą.

TOBIASZ: Cóż... człowiek sam!... Dzieciom zaś trzeba zabawek, a że wszystkie dzieci nie mogą przecie przyjść do mnie, więc idę rozdać im te swoje zabawki. *(ku publiczności)* Może wy, dziatki moje, usłyszycie o jakim biednym dziecku,



które nie ma zabawek, to przyślijcie mi je. A tymczasem patrzcie, co ja tu mam!

*(Ustawia zabawki, lalki mówiące, zwierzęta różne, nakręca je. Chór krzyków i pisków)*

TOBIASZ: *(mrugając ku dzieciom z zadowoleniem)* A co... wszak prawda! *(zbierając wszystko)* Bo dzieciom trzeba zabawek, dużo zabawek... A i nam, dorosłym, także.

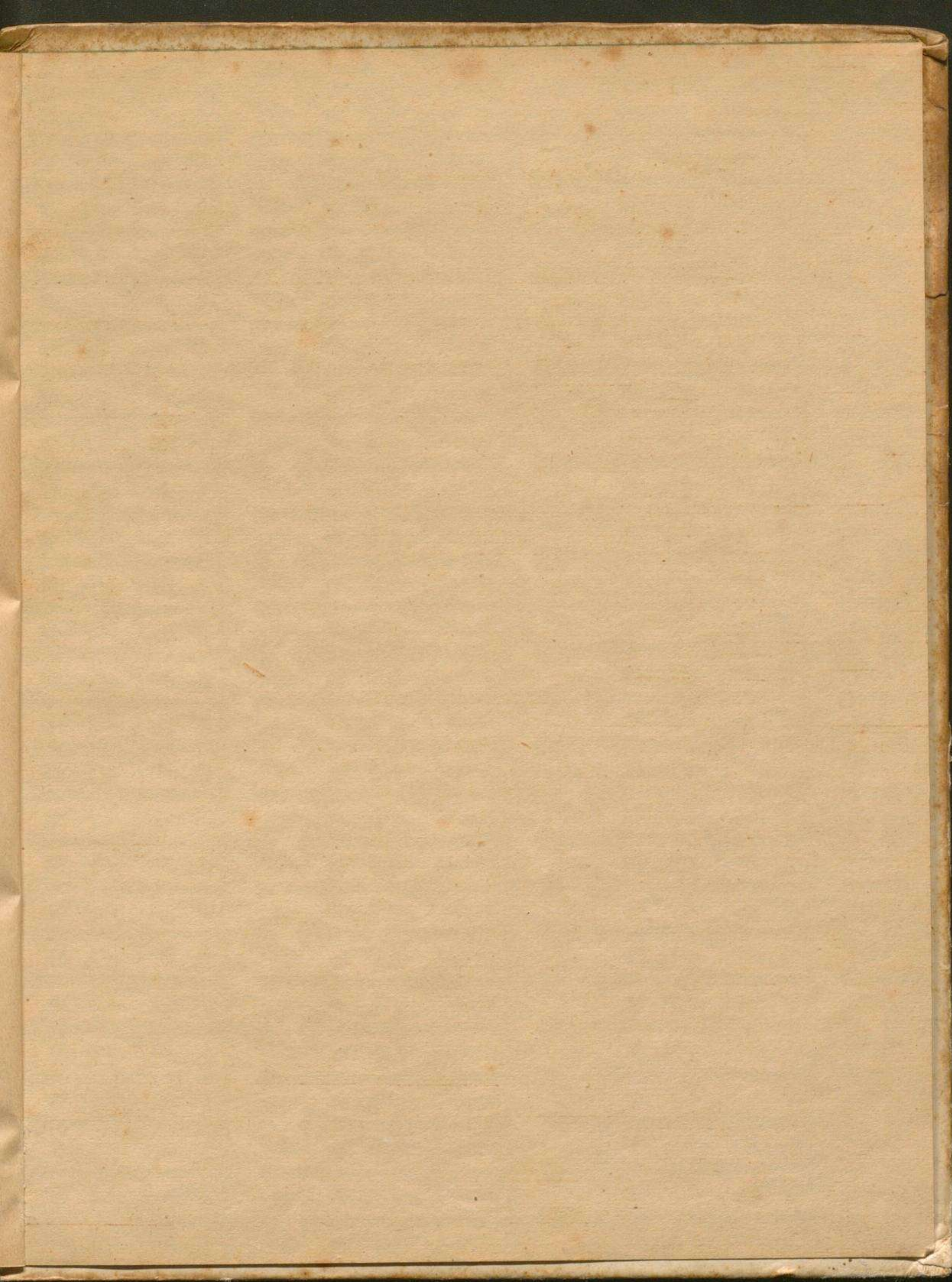
K O N I E C.





0











Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001029207983



3.133.683

